Nr. 8. Lwów, dnia 1. Sierpnia 1886. Rok IX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

SŁONKA

(SCOLOPAX RUSTICOLA, DIE WALDSCHNEPFE, LA BECASSE)

PRZEZ

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Korzystając z opisów w „Łowcu“ z roku 1880, tyle zajmujących, skreślonych znanem nam piórem Karola Brzozowskiego, przytaczam jego spostrzeżenia, że słonki cofają się i z gór zlatują przed śniegami, co i w naszym kraju uważałem; zjawisko to wyjaśnione głodem.

Badanie jesiennego ciągu połączone z większemi trudnościami, jak wiosennego, las bowiem liściem okryty tworzy często ciemne gąszcze, dla oka niedostępne. Kto nie jest bystrym obdarzony słuchem i nie zna furknięcia charakterystycznego słonki, nie dającego się z żadnem innem porównać, ten przejdzie z legawcem lub kilkoma chłopcami niejeden miot i słonki nie zobaczy. Dodać jeszcze muszę, że ptaki są leniwe, niechętne do lotu i pod baldachimem liści mniej ostrożne, siedzą twardo lub na piechotę umykają, warując śród krzaków i korzeni. Pojedyncze ptaki nadlatują już koło 15. Września; są to kawalerowie, nie mający obowiązków dla rodziny, wałęsający się po lasach, szukający obfitego żeru i bezpiecznego schronienia; trudno orzec, czy to już migracyjne ptaki, czy też latające wokolicy. Niekiedy koło św. Michała, 29. Września, pojawiały się słonki w dosyć znacznej liczbie, lecz przeciętnie najobfitszy ciąg, jak świadczą moje notatki, odbywał się między 5tym a 15. Października, ciąg zaś po 20tym uważam za wyjątkowy. Bywają zagadkowe ciągi, spóźnione na podobieństwo pociągów kolejowych i dwa takie mam zapisane. Po zebraniu dosyć małej zdobyczy opuściłem moją siedzibę 16. Października, a powróciłem w ostatnich dniach tego miesiąca i jeszcze polowałem na słonki, które się zatrzymywały do pierwszych dni Listopada z niedocieczonych przyczyn; już przymrozki dokuczały, śnieżek prószył, a służba leśna nie przestawała donosić mi o słonkach. Zaiste zagadkowe bywają w tym względzie zjawiska, wyryte w mojej pamięci. I tak w r. 1883 odbył się ciąg obfity począwszy od 1. Października do 15go; z tym dniem coraz więcej ubywało wędrowców do tego stopnia, że przestałem polować, uważałem słonczą kampanię za skończoną, lecz inaczej los zrządził. W dniu 23. Października zerwała się burza, druzgocąca lasy, uragan z deszczem lodowatym i mokrym śniegiem mroził dokuczliwie, nie było człowieka, któryby się odważył wyjść w otwarte pole, z północy bowiem dął nielitościwie wicher. W dniu 24. uwiadamiają nas o pojawieniu się słonek; wieczorem tegoż dnia donoszą dozorcy ze wszystkich rewirów, że nigdy nie widzieli tyle ptaków razem siedzących. Rzeczywiście przy-

były wtedy hurmy słonek i to dużego gatunku nie do obliczenia; zapadły one po wszystkich lasach, po krzakach. Zaskoczone tą niespodzianką atmosferyczną, słonki zmuszone zostały do przerwania podróży tak raptownie, że siadały na polach, rolach i łąkach z nader rzadkimi zarostami. Zaiste trudno było wtedy wybrać rewiry do polowania, a rozkosz, mimo dokuczliwego powietrza niezmierna; namiętny myśliwy mógł upadać ze znużenia, nabawić się zapalenia płuc, ale polować musiał aż do ostatniego dnia pobytu niespodzianych gości. Nasza rozkosz trwała niestety tylko przez trzy dnie, powietrze złagodniało, wiatr się uciszył i wędrowcy podążyli na wschód, pozostawiając w Olejowie 103 trupów. Mała liczba strzelców i to nie doborowych, dotkliwe zimno były przyczyną skąpej zdobyczy w stosunku do liczby ptaków, które z powodu zmęczenia i przemoczenia łatwe były do strzelania. To tłumne zapadanie słonek wyjaśnia gwałtowna burza, połączona ze śnieżnicą, ale zagadkowy tak spóźniony ciąg tem trudniejszy do usprawiedliwienia, że ciąg poprzedzający był normalny i liczny. Dlaczego się te słonki spóźniły, gdzie latowały i zkąd do nas zapędzone zostały, pozostanie tajemnicą. Kilka podobnych wypadków mam zanotowanych, ale tak nawalnego ciągu nigdy nie widziałem i nie słyszałem o nim; przypomina on opisany przez Brzozowskiego. Oczywiście małe stadka musiały się zbierać na ptasich stacyach, a dojrzawszy do tej olbrzymiej liczby, jaką opisałem, wspólnie ruszyły w tę nieszczęsną dla nich podróż. Znany jest obfity ciąg po wiklinach i olszynach u brzegów Dunaju. W roku tysiąc ośmsetnym siedmdziesiątym którymś nie widywano przez cały Październik słonek, pojawiły się dopiero licznie w Listopadzie i bawiły do pierwszych dni Grudnia. Często zdarzało mi się strzelać słonki w Listopadzie, a nawet później, lecz były to nieliczne pasibrzuchy na dobrym wikcie, żal im było opuścić go i ruszyć dalej; wszelako ciągi w tak spóźnionej porze uważam jako nader wyjątkowe wypadki. Rozpisałem się nieco obszerniej o tem, aby zwrócić uwagę myśliwych na te migracye; niech zachowają je w pamięci, gdy o nich sami się przekonają, będę za trud mój sowicie wynagrodzony. Życie i wędrówki słonek zasługują na głębsze badanie, wykrycie i poznanie zwyczajów ułatwia polowanie, zmniejsza ofiary i wysilenia i uzyskujemy należną nam dziesięcinę z licznych wędrowców, lecących na pastwę Arabom. Tu nie można oznaczać kalendarzowych terminów przylotu i odlotu tak na wiosnę, jako też w jesieni; w tym celu musi być ścisły nadzór zorganizowany, a myśliwi powinni być w pogotowiu, bo często rozkosz nasza bywa nader krótką. Przypominam sobie zimne, mokre i śnieżne wiosny, w których naganiacze zabijali patykami skostniałe i przemoczone słonki.

Przystępuję do opisu ciągu przy wschodzie i zachodzie słońca na wiosnę, otoczonego urokiem, poruszającego wszystkie nerwy. To prawdziwa poezya życia, którą pochłaniamy w głębi duszy: ów chorał ptactwa, ów obraz zwierzostanu, kadzidło przyrody, szmer zachwycający, upajające balsamiczne powietrze, wynurzające się tajemnice, nasuwające się zagadki, wszystko to elektryzuje, podnosi umysł ku wyższym sferom, w głębi serca odżywia gorący promień piękna i życia. Fletowymi tonami obudzają kos i drozd naszą uwagę; raszka pieszczotliwym, cichym, fagotowym spiewem nuci swą dzienną modlitwę; płochacz, zwiastun ciągu słonek, przesuwający się wśród drobnych gałązek, wydaje głos, nie dający się ująć w pewną melodyę, bo on w nieustannym ruchu nie zdolny skrystalizować jej, ale cenny to ptak, bo zdradza jawienie się oczekiwanych długodziobów. Wzrusza nas beczący rogacz, ocierający przestarzały mech z rogów, gniewa się na krzaki i bodzie jakby wrogów swoich; niekiedy słychać piskliwe szczeknięcie liszki, przywołującej swe dzieci, szczekanie lisa w pogoni za sarniątkiem lub zającem, szmer kłębiących się owadów, kwakanie ciągnących kaczek i gwizdanie długonogich brodźców, a wszystkie te głosy odzywają się przy akompaniamencie spiewu wielu gatunków drozdów. Marzenie owłada umysł, dusza w zachwycie, krew czyściej krąży, przeistacza się człowiek w zwątpieniu, ażali to rzeczywistość lub sen uroczy. Jakby z pod ziemi jawi się tajemniczo słonka na szarem tle, wybiegła ona z gąszczu na drogę, linię lub leśną łączkę, rozważnie się rozgląda i czując się bezpieczną zrywa się po nad krzaki, w wysokości dwóch sążni wachluje spokojnie, obleci wybrane gąszcze, siędzie przy kałuży, napije się chciwie, w ciepłych wieczorach użyje kąpieli i poderwawszy się zachrapie lub zaświszcze, oczekując odpowiedzi. Gdy jej nie otrzyma, leci dalej, wabieniem przywołując towarzyszów lub towarzyszki. W tej samotności wydaje często głos, jak gdyby zniecierpliwiona milczeniem; po bezowocnych wysileniach siada i wbiega do gąszczu. Ten sam manewr powtarza przy wschodzie słońca. Później, w pogodnych wieczorach na świśnięcie lub chrapnięcie zjawia się druga, wtedy dąży do niej lotem błyskawicy, zatrzepoce i po ptasiej rozmowie lecą obie dalej; gdy zaś samiec spotkał samiczkę, tuli się do niej w locie, lotkami dotyka, trąca dzióbem i odbywa konkury świszcząc i chrapiąc. Dla samca niebezpieczna to chwila, nadlatują bowiem konkurenci z dalszych porębów i rozpoczyna się walka, wprawdzie nie krwawa, ale zacięta. Ptaki kłębują, trudno rozróżnić je, kształty tego obrazu zmieniają się nieustannie i żal nas ogarnia, gdy z widnokręgu znikną. Wtedy nietrudno zastrzelić kilka słonek jednym strzałem, lub gdy dwie trzepocą w pobliżu siebie, spuścić obie. Jeden z moich znajomych miał nad sobą taki kłębek słonek dwa razy w życiu, spuścił raz trzy, drugi raz dwie, ja zaś strzelałem kilka razy do parek, ale nigdy obu nie ubiłem. Ciąg wieczorny ma niestety wiele stron ujemnych; krążenie słonek trzeba skrzętnie wypatrywać, zmienia się ono często, ptaki upatrują żer, kałuże i miejsce dogodne do tokowania, więc ciągle kierunek zmieniają. Najprzystępniejszy jest zrąb kilkunastoletni, w starszych i starodrzewie latają słonki zbyt wysoko. Drugą ujemną stroną jest jazda do lasu, a szczególnie powrót w nocy do domu; kto nie posiada lasu w bliskości, istne tortury przebywać musi. Konno czy wozem droga piekielna; wóz grzęźnie w błocie, koła nie obracają się, konie ustają potykając się ciągle, niekiedy upadają, w końcu często wóz się wywraca, co srodze zniechęca myśliwego. Nieraz powracałem do domu o 10tej w nocy, opuściwszy las przed 8mą godziną, zmęczony zbłocony i znękany, a często nawet dobre konie i wprawiony do polowania wierzchowiec zmuszały mnie do piechotnego powrotu i brnąłem w błocie po kolana. Musi być niepospolity urok w tem polowaniu podczas dni pogodnych i ciepłych wieczorów, kiedy panie, z któremi tylokrotnie polowałem, zachwycone były tą miłą rozrywką.

W dniach zimnych i słotnych nie ciągną słonki, a gdy która tajemniczo i spiesznie przeleci, to głosu nie wyda i niknie nam z oczów. Zdaje się, że przy takiej tempera-

turze nie parują się, o ile mi doświadczenie wskazuje. Sceny przedstawiające nam słoncze konkury nie wszędzie widzimy i to nową jest zagadką. Często donosi mi służba leśna, rozstawiona po liniach i drogach, że ciągnęły 3 lub 4 słonki, a gdy ich szukam, okazuje się 15 do 20. Zdawałoby się, że to słonki, które nad wieczorem i nad ranem nadleciały, że zatem nie mogły się okazać na ciągu, lecz przekonałem się o ich pobycie kilkudniowym w moich lasach. Olejów, zwany stacyą słnczą, nie może dać na wiosnę uroczego ciągu, gdzieniegdzie tylko pojedyńcze przeciągają, ale nie zdarzyło się, żeby kto z myśliwych zabił jednego wieczora dwie słonki. W niektórych rewirach można kierunek ciągnących słonek nazwać wexlami ptaków, jak innej zwierzyny, w innych niemal co wieczór ciągną innemi liniami i gdy nam się zdaje, żeśmy wypatrzyli ich dążenie, okazuje się, że zupełnie inną drogą ciągnęły. Takich lasów znam wiele, do nich należą i Olejowskie, z niewdzięcznym ciągiem, nie do pochwycenia.

Przeciągają tak w jesieni jak na wiosnę pojedyńcze słonki; są to awangardy, lub ptaki bez samiczek i rodziny, istne pasibrzuchy, oblane i okrągłe jak gałki, na wiosnę zaś, szczególnie przy spóźnionym ciągu, przylatują w parkach, wtedy z polowaniem na nie spieszyć się należy, gdyż one odlecą wkrótce na lęgowiska. W jesieni przybywają rodziny, złożone zawsze z sześciu ptaków, jeżeli który nie zginął i według mego zdania, wędrują rodzinami do pewnych stacyj, gromadzących znaczną ilość słonek; z tych stacyj prawdopodobnie już w znacznych stadach lecą, inaczej bowiem nie można sobie wyjaśnić pojawienia się kilkudziesięciu lub kilkuset słonek na jednem miejscu, gdzie ich wczoraj wcale nie było. Zdarzało się u mnie nadlatywanie mało-liczebnych stadek, które wybijaliśmy, ale nieraz też stopniowo naleciało kilkadziesiąt słonek, które nad ranem szybkim pociągiem pospieszyły na wschód, nie pozostawiając ani jednej w krzakach. Nie znam ptaków, któreby pojedyńczo wędrowały, a u słonek widzimy ten zwyczaj corocznie, na wiosnę zaś lecą parkami. Słonki ciągną przy wschodzie i zachodzie słońca, nigdy w ciemnych nocach. Gdzie spostrzegą odpowiednie miejsce, spoczywają, a nad ranem ruszają w dalszą podróż. Jako ptaki nader ostrożne i trwożliwe lękają się światła dnia i blasku słońca, na dzień więc dążą do zarośli. Mniemam jednak, że gdy ciąg się opóźni i termin jego naciska, ciągną słonki w dzień i w nocy, lecz w takiej wysokości, jakiej cedry Libanu nie dosięgają, wysokości, wychodzącej z zakresu badania. Siedząc wieczorami na zasadce przytulony do pnia na kraju lasu, widywałem nader często przybywające słonki, lecz więcej jak sześć nigdy nie naliczyłem; być może, że większe też stadka nadlatują, ale ja ich nie widziałem, na wiosnę zaś nie udało mi się podpatrzyć przylatujących słonek.

Wschód słońca i jego promienie działają piorunująco na lękliwych wędrowców, blask ten zmusza do zapadania tam, gdzie je zaskoczył, na roli, w polu lub na łąkach, bez krzaków i schronienia, wtedy ptaki przytuliwszy się do ziemi warują i każdy uważa je za bryły ziemi lub kamyki. Jak już wyżej powiedziałem, zapadają po ostach, zarośniętych rowach i miedzach, pod płotami i t. d. Jednego dnia na Podolu zdarzyło mi się zastać na ścierni w kępinie dzikich bzów, na przestrzeni nader małej kilkanaście słonek. To zapadanie na odkryte przestrzenie uważać należy jako wyjątkowe, zresztą upatrują sobie te ostrożne i przezorne ptaki stacye w zaroślach, do których na czas zdążają. Na wiosnę nie dostrzegłem tego zapadania po polach, może być, że wtedy wyrachowanie odległości jest ściślejsze, jak w jesieni, w której młode, niedoświadczone ptaki puszczają się w podróż.

Na ciągu jesiennym znajdujemy także parki; są to ptaki, którym zniesienie zepsuto, żyjące jeszcze razem w małżeństwie. Słonka gnieżdżąca się w znacznej ilości w górach, wystawiona na rozliczne prześladowania przez ptaki drapieżne, lisy, tchórze, kuny, łasice i wiewiórki, często życiem przepłaca swe przywiązanie do jaj. Jastrząb-gołębiarz, jej najzaciętszy prześladowca, odkrywszy ją, goni i w końcu pochwyci *).

Słonka nie lubi i nie znosi ciepła; pocieszną przedstawia postać przy wyższej temperaturze. Leży na brzuchu z obwisłemi skrzydłami, koniec dzióba nieco otworzony i do góry zagięty, widocznie z trudnością oddycha; taka słonka siedzi twardo i nogą ją niemal ruszyć można w południowych godzinach. Ten wstręt do ciepła wyjaśnia nam pobyt słonek w górach i w północnych krajach, a nas myśliwych uczy, a b y ś m y i c h s z u k a l i n a w i o s n ę n a s t o k a c h p o ł u d n i o w y c h i w s c h o d n i c h, g d y ż t a m z n a j d u j ą n a j w c z e ś n i e j s z y ż e r, w j e s i e n i z a ś n a p ó ł n o c n y c h i z a c h o d n i c h z c i e n i e m i c h ł o d e m.

Mają słonki swe ulubione miejscowości z powodów nieodgadnionych, bo tam ani więcej żeru, ani wody nie ma, niż w innych, a jednak corocznie tam zapadają, kto więc pozna i odkryje te krzaki, ma wielkie ułatwienia w polowaniu. Niech nikt nie mniema, że te siedziby słonek są stałe i trwałe, zależą one od utrzymania lasu i jego zwartości, gdy n. p. siekiera przerzedzi gąszcze, to słonki opuszczają je, szukając w innych schronienia. Wiadomo, że glisty stanowią główne pożywienie słonek, przebywają więc głównie w lasach przy miękkich rolach, na których rano i wieczorem żerują. W lasach szpilkowych nie lubią zapadać, zwarte gąszcze, nie dozwalające podlatywać w każdej chwili, są dla nich niebezpieczne, więc stronią od nich, a i dla myśliwych jest tam utrudnione polowanie, bo słonki biegną do linii strzelców i razem się podrywają, zaczem zaledwie pojedyńcze mogą być odstrzelone. Lasy mięszane lub liściaste ze spadkami i źródliskami są ulubionem miejscem ich pobytu, szczególnie gdy przez lato bydło po nich chodziło, w łajnach bowiem znajdują się drobne żuki i rychże larwy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) W moich „Zapiskach ornitologicznych“ opisałem spryt i wytrwałość jastrzębia - gołębiarza w prześladowaniu słonek, z nich przypomnieć muszę, że on poluje na słonki jak człowiek. Siada na drzewach i obserwuje, gdy się zerwą goni i w locie chwyta, mimo szybkości lotu słonki, kominków i zygzaków, piechotą też za niemi chodzi, łapie na ziemi lub zmusza do poderwania. Przypominam sobie jastrzębie, które z nami polowały jak wyuczone sokoły i w naszych oczach łowiły słonki wypłoszone przez naganiaczów. Jaki to ptak odważny i zdeterminowany, osądzić można z następnego wypadku: Zrywa się przedemną słonka, jastrąb jak *deus ex machina* zjawia się nad głową moją i łapie ją; ja strzelam, lecz poruszony chybiam, on nie puszcza swej ofiary, siada w odległości kilkuset kroków i poczyna skubać pierze. Podkradam się i trafiam go drobnym śrutem, on słonkę unosi i siada w drugim miocie, gdzie wreszcie ubiłem rabusia na ptaku już do połowy zjedzonym. Gołębiarze często zwiastują nam słonki, więc gdy je po drzewach znajdujemy, a nie ma w lesie jarząbków, ulubionego ich przysmaczku, szukajmy na pewne słonek. W czasie lęgu sroki i sojki wypijają jaja i wypatrują pisklęta, a pomimo ponoszonych corocznie rozlicznych klęsk w podróży, na ciągu i na lęgowiskach, ptaki te mnożą się często do liczby zdumiewającej.

*

Fragment z nędznego żywota.

PRZEZ

L. G. Dziubińskiego.

I.

Nikną już nocy całuny czarne,
Cudowny, jasny, ściele się dzionek,
Powietrze gęste, mgłami ciężarne
A słońce błyska z chmurnych osłonek.

Na górach strojnych śnieżną zielenią
Mgły osiadają, jak kaptur mniszy,
I tylko listki słodko szeplenią
Wzniosłą melodyą — na tle tej ciszy.

Ognista kula rozpędza chmurki,
Jak olbrzym wątłych karłów gromady,
Już tu i ówdzie wyższe pagórki
Wieńczy djademem promyczek blady.

Chwilka i oto świetlana struga
Na stoku góry jak wstęga błyska,
Przez drzew listeczki figlarnie mruga,
W kropelkach rosy nieci ogniska.

Każda kropelka brylantem zda się,
Jak szmaragd każda wygląda góra,
Ach! w tym dnia z nocą wielkim zapasie
Potężne cuda stwarza natura.

W lesie ród zwierząt buja szczęśliwy,
Wolny od troski i niepokoju,
Bo w pięknym Maju nawet myśliwy
Musi powstrzymać żądze rozboju.

Wszak to dla zwierza pora miłośna,
Fiziologicznych pora uniesień,
Tę chwilę szczęścia, co daje wiosna,
Przerwie strzałami niedługo jesień.

II.

W czarnym borze, na góry hen szczycie,
Kędy strumyk mknie drobną kaskadą,
Do którego o rannym już świcie,
Pić przychodzi spragnione sarn stado,
Jakiś człowiek wynalazł ukrycie,
I twarz jego widać z gęstwi bladą.

Chytrym wzrokiem spoziera w około,
W drżących rękach broń morderczą trzyma,
W licznych zmarszczkach, kryjących mu czoło
I w tych piersiach rozrosłych — olbrzyma,
Myśl odgadnąć można nie wesołą,
Która błyska, jak sztylet — oczyma.

On czatuje, podobny do mary
I co chwila wytęża w dal oczy —
Wkrótce spełnią się jego zamiary
I krew ciepła murawę obroczy,
Bo pod wodzą doświadczonej starej
Sarnie stado do strumyka kroczy.

Starka pilnie wciąż wietrzy i słucha...
Szepczą liśćmi przestrogę jej buki,
Idzie naprzód, na znany szmer głucha,
Idzie naprzód, choć głoszą śmierć kruki.
W tem donośny huk strzału wybucha
I ze stada powala trzy sztuki.

Reszta pierzchła w odległe gdzieś strony —
A zbój-człowiek wypełznął z za krzaka,
Łypnął w koło, czy nie jest śledzony,
Spojrzał wzrokiem drapieżnego ptaka
Na rogacza przy siucie skrwawionej —
I rannego uchwycił śpiczaka.

W twardej dłoni zadrgało maleństwo,
Skok mu zwisnął, siekańcem złamany,
A z ócz czarnych mu błysło męczeństwo
I jęk trwogi się ozwał.. przerwany,
Bo duszącej dłoni ludzkiej męstwo
Sprowadziło wnet zgon pożądany.

*

* *

Rabuś związał za skoki trzy trupy,
Wziął na plecy i zniknął w gęstwinie
I rachował już w myśli te łupy,
Na sprzedanej co zyska zwierzynie...
Spiesznym krokiem szedł do swej chałupy
Wieścić szczęście zgłodniałej rodzinie.

We Lwowie 12 Czerwca 1886.

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

ZAJĄC

PRZEZ

KAZIMIERZA REMISZEWSKIEGO.

Nie każdemu jest danem hodować w swoich rewirach zwierzynę grubą; niechże chowa, co chować może, a więc przedewszystkiem zająca, który w naszym kraju w każdej prawie miejscowości z łatwością przy umiejętnem staraniu rozmnoży się obficie i obok przyjemności wynikłej z polowania, dostarczy nie mniej znacznych korzyści. Wielu nie wierzy, aby polowanie dawać mogło dochody, sądząc, że co w tej mierze myśliwi mówią lub piszą, czynią to z przywiązania do zwierzyny, chociaż nie wierzą sami w słuszność swojej sprawy. Tym niewierzącym pozwolę sobie podać daty statystyczne, a nic bardziej nie przekonuje jak cyfry. Oto w Czechach ubito w r. 1860. 497.250 sztuk, w r. 1861. 393.083, w r. 1862. 325.260, w r. 1863. 334.572, w r. 1864. 485.035, w r. 1865. 454.824 sztuk zajęcy. Porównując wielkość Czech i naszego kraju, stosunek okolic górskich do płaszczyzn, okaże się, że rzeczywiście zdziałaliśmy bardzo wiele w kierunku wytępienia zajęcy, których mimo ustawy i istotnie podniesionej w ostatnich latach działalności łowieckiej, u nas bardzo niewiele. W r. 1864 zabił osobiście w ośmnastu dniach książe Ernest Coburg-Gotha 1453 zajęcy z 5380, które na tych polowaniach koło Gothy padły, a w r. 1863, w jednym miocie zabił książe Lobkowitz około Stampfen na Węgrzech, w dobrach hr. Palffy 280 zajęcy. U nas bardzo niewiele jest miejscowości, w których rozkład całodziennego polowania wyniesie około setki zajęcy. Ustawa łowiecka niedawno u nas weszła w życie, kłusownictwo grasuje nieposkromione, o racyonalnej hodowli w bardzo wielu jeszcze miejscowościach nie ma mowy nawet, cóż zatem dziwnego, że w ościennych krajach, gdzie inaczej od dawna wzięto się do rzeczy, jest zwierzyny wiele, a nie ma jej u nas. Dzieląc się dziś z szanownymi czytelnikami skromną moją wiedzą i skromniejszem jeszcze doświadczeniem, czynię to w tem przekonaniu, iż każdy myśliwy obowiązany jest przyczynić się wedle możności i sił do wspólnej pracy około podniesienia łowiectwa.

Zając *(lepus timidus seu vulgaris. Linn.)* należy do grupy gryzoniów *(Glires)*, do familii zajęcowatych *(leporinae)*. Charakterystycznem znamieniem dla tej grupy są po dwa w każdej szczęce zęby tnące, otwarte u dołu i skutkiem tego narastające w miarę zużycia, tylko z przodu opatrzone szkliwiem, brak kłów, a między zębami tnącymi i trzonowymi luka.

Charakterystycznemi znamionami dla familij zajęcowatych są również: Budowa wysmukła, boki i głowa spłaszczone,

wargi grube, bardzo ruchliwe, oczy duże, ogon krótki i miękkie opuszenie. Szczególnem jest uzębienie; za zębami tnącymi (strzyżami) dłutowatymi, znajdują się inne zęby, krótsze, o przekroju czworościennym. Zębów trzonowych w szczęce górnej 5 — 6, w dolnej 5, które mają korzeń otwarty. Stos pacierzowy składa się oprócz kręgów szyjowych z 12 kręgów żebrowych, 9 pachwinowych, 2—4 krzyżowych i 12 do 20 ogonowych. Jama oczna od skroniowej nie rozdzielona, czaszka podłużna, podniebienie skostniałe, wąskie, szczęka dolna wysoka, przewód słuchowy rurkowaty. Na przednich nogach po 5, na tylnych po 4 palce, podeszwy mocno obrosłe, nos silnie rozszczepany, t. zw. zajęcze usta.

Zając (szarak, kot, spióch, korpal, kaszlon, wytrzeszczak, kusy i t. d.) odróżnia się od innych powinowatych uszami (słuchy), które są dłuższe od głowy, końce mają zewnątrz czarne, ogon (omyk) z wierzchu czarny, ze spodu biały, oczy (patry, wytrzeszcze) duże, brunatno-żółte, nogi tylne (skoki) znacznie dłuższe od przednich, liczba kręgów ogonowych wynosi 12—16.

Rozsiedlony jest zając w całej Europie, na zachodzie do 58°, na wschodzie do 49° północnej szerokości. Nie wszędzie jednak mimo ochrony równie liczny. W Rosyi południowej dość liczny, tak samo i w Kaukazie, Uralu i Persyi. W Azyi mniejszej około Aleppu i w Syryi bardzo pospolity; ma się równie znajdować w północnej Afryce, w Indyach, Chinach, a nawet i Japonii, jakkolwiek naturaliści nie są pewni, czy jest to zając z naszym identyczny. W Ameryce go nie ma. W Europie sięga granica jego rozsiedlenia na północ do Szkocyi i południowej Szwecyi, na południe do Francyi i północnych Włoch. W górach sięga do 5ciu, a nawet 6ciu tysięcy stóp nad poziom morza. Urodzajne równiny z lasami, podgórza lesiste są miejscowościami najbardziej mu dogadzającemi w strefie umiarkowanej. W bardzo zimnych i w gorących krajach mimo robionych prób zaprowadzić się nie dał. Na południu, nad morzem Śródziemnem, zastępuje go inny gatunek, mniejszy, barwy czerwonawej, w górach zaś wysokich bielak *(lepus variabilis)*, na północy, w strefie zimnej zając lodowy *(lepus glacialis)*. W Ameryce, w strefie umiarkowanej żyje zając amerykański *(lepus americanus)*, tamże niewłaściwie królikiem zwany *(rabitt)*, jakkolwiek ze względu na sposób życia i budowę jest on rzeczywistym zającem. Oprócz niego znajduje się również w Wirginii, a szczególnie w Kanadzie, aż do zatoki Hudsońskiej zając podobny do naszego bielaka, zmieniający na zimę futro, t. z. *lepus virginianus*.

W Europie żyje (oprócz bielaka) jeden tylko gatunek zająca, różnice zaś nieznaczne w wielkości i ubarwieniu są to formy czysto lokalne. Oto co o tem Blasius w swojej „Naturgeschichte der Säugethiere Deutschlands": „Od roku 1840 miałem sposobność badać zające żyjące i świeżo ubite we wszystkich krajach Europy. Oprócz tego miałem egzemplarze całe jak i czaszki zachowane w wyskoku i roztworze solnym z Rosyi północnej i południowej, ze Szwecyi, Prowancyi Delfinatu, z Hiszpanii, Sycylii, Dalmacyi, Grecyi, Włoch i południowej Francyi. Widziałem również t. z. *lepus meridionalis* w Turynie. Skutkiem badań tak różnorodnego i bogatego materyału, w połączeniu z badaniem osobników na wolności będących, zapatrywania moje bardzo się uprościły. Jako ostateczny rezultat tych badań wypowiadam zdanie, że wszystkie długouche europejskie zające, z dwubarwnym ogonem, bez względu na barwę, opuszenie i wielkość, nawet bez względu na względną długość uszów i ilość kręgów ogonowych, do jednego i tego samego rodzaju zaliczyć należy i że rodzaj ten obok indywidualnych i skutkiem wieku powstałych różnic w budowie czaszki, uzębienia, stale i wyraźnie odróżnia się od bielaka *(l. variabilis)*. W obrębie jednak tego jednego rodzaju okazują się pewne różnice w barwie, długości i gęstości włosa, tudzież wielkości, wreszcie względnej długości uszów, a różnice te, zacierające się przez stopniowe przechody, uprawniają nas do podziału na trzy wybitne rasy czyli formy:

a) forma południowo-europejska. Krótka i rzadka turzyca, słuchy długie, smukłe, pokryte rzadkim włosem. W ubarwieniu przeważa kolor rdzawo-czerwony: *lepus mediterraneus*, Wagner., *l. meridionalis*, Géné, *l. granatensis*, Schimp.;

b) forma środkowo-europejska. Dość gęsta i długa turzyca, słuchy długie gęsto uwłosione, kolor biały wyraźnie przebija na łopatkach, w zimowem futrze (smużku) dużo białego włosa: *lepus timidus auct*, Linné, *l. campicola*, Schimp.;

c) forma północno-wschodnia. Bardzo gęsta i długa turzyca, gęsto uwłosione dość długie słuchy, kolor biały na łopatkach i pachwinach przeważa. W zimie grzbiet szary, szarobiałe łopatki i pachwiny: *lepus caspicus*, Ehrenberg, *l. equilonius*, Blas., *l. medius*, Nilss, *l. variabilis*, *varietas: hybridus*, Pall. Różnice tych obu ostatnich form spowodowały niemieckich myśliwych do przyjęcia nazwy zająca polnego *(Feldhase)* i górskiego *(Berghase)*".

Jak już wspomnieliśmy, żyje w Europie jeden tylko rodzaj zająca, a różnice, jakie zachodzą pomiędzy pojedyńczymi okazami, nie są tak wybitne, aby można na ich podstawie przyjąć więcej gatunków. Są one tylko wynikiem różnic klimatu, szerokości geograficznej, większej lub mniejszej żyźności siedliska i t. d.

Postać samca. Samiec ma głowę dużą i okrągłą, czoło wypukłe, pysk gruby i duży, otwory nosowe mają skutkiem głębokiej bruzdy, dzielącej górną wargę postać drugiego pyska. Wargi (pyrsy) z obu stron opatrzone szczecinowatymi włosami (wąsami); kilka takich włosów znajduje się nad nosem i około oczów, włosy te są u dołu czarne. Wargi górne bardzo ruchliwe, słuchy muszlowate zgięte, na głowie blisko siebie osadzone, szersze od głowy, ku górze się zwężają. Znany naturalista Göze odkrył w słuchu zająca rurkowaty przewód kostny, który powoduje, iż słyszy najcichszy nawet szelest. Przewód ten łączy się z przewodem właściwym w kości twardej *(os petrosum)* i chwyta głos od tyłu. Oczy (patry) bez wyrazu, duże, jajowate, wypukłe, osadzone na wierzchu, więcej z boku głowy, nie mają powiek i rzęs, skutkiem czego zając ma zawsze oczy otwarte. Szyja krótka, muszkularna, pierś wąska, korpus wydłużony, wałkowaty. Ogon (omyk) składa się z 12 do 16 kręgów, mimo to ma zaledwie 4·6 cm., zawsze ku górze zwrócony. Skoki przednie krótkie i słabe stosunkowo do tylnych, które są cokolwiek dłuższe od połowy długości całego zwierzęcia. U ścięgien tylnych skoków znajduje się kość, t. zw. właściwy skok zajęczy, około 5·3 cm. długa, bardzo elastyczna; ona to umożliwia zającowi ruch skaczący. Skoki przednie mają pięć, tylne 4 palce, z których każdy opatrzony silnym pazurem. Członek męski w spoczynku zwrócony ku tyłowi, podczas spółkowania zwraca się ku przodowi. Jądra w młodości prawie niewidzialne, nabrzmiewają silnie w czasie parkotni. Zewnątrz

tuż obok członka ma zając dwie jamy głębokie, okryte skórą nagą, na której znajdują się liczne brodawki, wydzielające ciecz krzepnącą. Zębów mając 28, a mianowicie w szczęce górnej na przodzie 2 strzyże, po za którymi są jeszcze 2 zęby krótkie, słabo rozwinięte; z każdej strony szczęki po 6 zębów trzonowych. W szczęce dolnej obok dwóch przednich strzyżów znajduje się jeszcze z obu stron szczęki po 5 zębów trzonowych. Kiszka ślepa u zająca bardzo długa, żołądka jednak drugiego nie ma, to też mylnem jest twierdzenie, jakoby zając przeżuwał, powstało to twierdzenie zapewne ztąd, iż zając ciągle, nawet nie żerując, pyrsami porusza. Smużek (futro) zająca składa się z dwojakiego włosa: krótszego, wełniastego i dłuższego. Kolor smużka jest tak zmienny, że go opisać niepodobna, a zależy głównie od miejscowości i od żeru. Waga i wielkość również od klimatu i żeru zawisła, a różni się tak dalece, że podczas gdy w jednych miejscowościach zając niepatroszony waży do 6 kilogramów, w drugich zaledwie do 3 kilogramów dochodzi. Wielkość samca dochodzi zwykle do 56 cm. długości i 20 cm. wysokości. W strefie zimnej i umiarkowanej jest on większy; im dalej ku równikowi, tem wielkość jego się zmniejsza. Zające górskie i leśne przewyższają wielkością wszystkie inne.

Postać samicy. W ogólności ma samica taką samą postać jak i samiec. Zachodzą jednak pewne różnice tak w budowie samej jako też i w ubarwieniu, po których można przy pewnej wprawie i doświadczeniu samca od samicy odróżnić. I tak samica jest większą, z korpusem więcej wydłużonym, podczas gdy samiec odznacza się budową zwięzłą, krótką, w ciele jest węższy, ale w krzyżach znacznie szerszy. Samica ma węższą, dłuższą głowę, samiec zaś ma głowę krótszą, okrągłą i puszystszą, wąsy i pojedyńcze szczecinowate włosy nad oczami dłuższe. Turzyca samicy na łopatkach żółtawa, na bokach i grzbiecie nawet letnią porą (wtedy, kiedy samiec widocznie się wyszczególnia czerwonym kolorem), o wiele jaśniejsza, w ogóle więcej szaro popielata. Samica ma dłuższe, ciemniejsze, spiczaste, cokolwiek kłape słuchy, które w biegu bardziej rozstawia, w kotlinie zaś, lub wymykając przy obu stronach głowy przyciśnięte do boków grzbietu trzyma; samiec zaś ma słuchy szersze, krótsze, białawe, które zwykle, a osobliwie w biegu wysoko nosi; nasłuchując porusza kolejno to jednym, to drugim, w kotlinie zaś składa je równo na grzbiecie. Omyk zajęczycy jest dłuższy, ale węższy i mniej czysto biały. Podczas parkotni zwraca się omyk cokolwiek na bok, zresztą jest zawsze nieruchomy; samiec w biegu omykiem często szybko porusza, odstawiając i przyciskając do grzbietu. Oprócz tego odróżnia się samica sposobem zachowania się. W kotlinie mocno się wciska w ziemię, grzbiet bardziej wygina, a kłęby tylnych skoków wystają w formie dwu garbów. Samiec wygrzebuje głębszą kotlinę od tyłu, wciska się korpusem więcej ku przodowi na przednie skoki i formują się przez to garby obok siebie tak z tylnych jako też przednich kłębów, wyrzucając zaś więcej ziemi formuje niejako wał obok kotliny. Samica zawsze twardziej dosiaduje niż samiec. Znamiona te w budowie i zachowaniu się osobników różnej płci podaję w dobrej wierze za profesorem łowiectwa w akademii leśnej wiedeńskiej Henschlem i baronem Thüngenem. Wiem jednak z doświadczenia, że w biegu, choćby na polu czystem, prawie niepodobna obu płci rozróżnić. W kotlinie, jako też na polowaniach z pogónką, w miotach na grubym lesie lub w rzadkich drągowinach, gdzie myśliwy często ma dość czasu przed strzałem dobrze się przypatrzyć wolno kicającemu zającowi, można z pewnością przy dobrej woli i dobrym wzroku dojść do takiej wprawy, że prawie na pewne po głowie, słuchach i ruchach rozróżnimy samicę od samca. Jakaby zaś wynikła korzyść przez szanowanie samic dla podniesienia zwierzostanu, nie potrzeba dowodzić. Części rodne zajęczycy mają tę osobliwą budowę, iż nie ma tu ani pochwy, ani ust macicznych, lecz pochwa i macica tworzą jedną całość. Trąby zaś maciczne *(Fallop)* obie mają usta, tak, że tworzą niejako dwie, odrębnie działające macice. Skutkiem tego może być samica już kotna ponownie zapłodnioną. Łechtaczka samicy rozmiarami i budową podobna bardzo do członka samca, a że jądra u samca po za czasem parkotni mało są widoczne, urosło ztąd przypuszczenie o istnieniu osobników dwupłciowych (hermafrodytów).

Kształt młodych. Zając rodzi się z włosem już doskonałym, koloru ciemnego, na czole często ma gwiazdkę białą, którą zwykle przez cały pierwszy rok życia zachowuje. W żołądku ma w pierwszych dniach po urodzeniu zsiadłe kulki mleka i siary, które następnie organizm trawi. Tej to okoliczności należy przypisać, że małe zajączki względnie dłuższy czas bez ssania mogą się obejść. Wyrośniętego młodego zająca łatwo poznać po tem, iż na skokach przednich stawy są wyraźne, a słuchy łatwo i równo się rozdzierają. Przed psami okłada zając młody krótko wracając napowrót do miejsca, t. j. kotliny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Powody wścieklizny u psa

przez

Karola Hostońskiego.

Lubo łaskawa natura obficie rozsypała swe dobroczynne dary śród ludzi, to jednak tajemniczą zasłoną okryła nie jeden z swych tworów. Zaprawdę nie jedna jeszcze jest zagadka w przyrodzie, którą tylko przypadek odsłoni. Może wiele z tych misteryów wyszłoby na jaw, gdyby nie zarozumiałość pewnej klasy ludzi, którzy uważają się za jedynie upoważnionych swoje zdanie o tem i o owem wypowiedzieć i uparcie utrzymują, że doświadczenia ludzi praktycznych są niedorzecznością. Wcale nie mam zamiaru zaprzeczać tego prawa dyplomowanym doktorom, profesorom, przyrodnikom itp., muszę jednak bezwzględnie wyrzec, że nie wiele ufam teoryi i experymentom z skalpetem i szkłem powiększającem, a doświadczenie nauczyło nas ludzi praktycznych, jak częste i ogromne były i są dziś jeszcze omyłki naszych teoretyków. Jednym z dowodów niech będzie ruja sarn; jakaż to pod tym względem różnica zdań! Podstawą teoryi jest niezawodnie praktyka,

rozumie się długoletnia praktyka, poświęcona jednemu przedmiotowi, praktyka połączona z teoretyczną wstępną nauką, wytężona ku temu celowi, aby pewną tajemnicę przyrody odsłonić. Patrzmy na nasze zakłady naukowe weterynarskie, jakiż nam się obraz przedstawi? Zaiste smutny! Młody chłopiec z kilku klasami gimnazyum lub szkoły realnej opuszcza ławę szkolną i poświęca się weterynaryi. Czyż ta nauka jest dążeniem do czegoś wyższego, jestże ona środkiem, aby sumienną pracą tak w teoryi jako też w praktyce działać dla dobra ludzi i zwierząt? Zaprawdę nie! Młodzieniec ów poświęca się weterynaryi, aby po ukończonem trzechleciu jako dyplomowany weterynarz opuścić zakład i uzyskać prawo na mocy nabytych teoretycznych wiadomości wszędzie stanowczo wystąpić, przedewszystkiem zaś zapewnia mu dyplom byt. W ciągu trzechlecia uczy się on tylu przedmiotów, że nie pozostaje mu czasu do koniecznej praktyki, a przypuściwszy nawet, iż chciałby się jej poświęcić, jakąż ma potemu sposobność? Żadnej! Czyż w ciągu owych trzech lat mogą się nadarzyć setki owych chorobliwych pojawów, a gdyby nawet się nadarzyły, czyż można n. p. u psa zamkniętego w klatce je badać? Tego u psa przypuścić nie mogę, możliwe to jest u konia, u krowy, albo u innego zwierzęcia domowego, przywykłego od młodości do uwiązania przy żłobie; mnie zaś nauczyło nadto częste doświadczenie, że pies opuściwszy swój dom zmienia swoją naturę, o ileż więcej działać musi zamknięcie w klatce na jego nerwy, a przez to stanowi jego zdrowia nadawać niekorzystny kierunek. Żadne zwierzę domowe nie jest tyle z swoim panem związane i żadne nie dąży tak silnie do wolności, jak pies. Aby zatem dokładnie chorobę psa zbadać, trzeba nad nim czynić spostrzeżenia od jego urodzenia aż do późniejszego wieku, porównywać klimatyczne wpływy, mając wzgląd na różnorodność ras. Takie doświadczenie może robić tylko myśliwy, który swego psa uważa za przyjaciela, ulubieńca i nieodstępnego towarzysza. Znam wielu posiadaczy psów, którzy swemu psu niczego nie szczędzą, lecz niestety gdy on zachoruje, nie troszczą się o niego, albo bez wahania każą go zastrzelić, nie badając przyczyn jego choroby. Takich właścicieli psów możnaby porównać z owymi myśliwymi, którym to obojętne, czy ruja sarn odbywa się w Lipcu, Wrześniu, czy w Grudniu, byle tylko było ich wiele w kniei.

Pies, a szczególnie pies łowczy najrozmaitszych ras, daje w istocie prawdziwemu myśliwemu wiele sposobności badania jego natury i chorób, jakim podpada. Takie praktyczne spostrzeżenia nieprzystępne są dla weterynarza, choćby przez 100 lat czynności swego zawodu wykonywał, jakież bowiem wnioski może on wyciągać z psa chorego, często ledwie żywego, oddanego mu do leczenia? Leczy go według swej teoretycznej wiedzy, uda się kuracya, to dobrze, nie uda, to już nie było dla chorego ratunku i nie ma apelacyi od areopagu nauki; jego orzeczeniu nikt sprzeciwić się nie odważy, bo dyplom go od tego zasłania. Że mam prawo tak twierdzić, najlepszym to dowodem, iż nauka weterynaryi wcale nie umie stanowczo sięgnąć do źródła wścieklizny u psa, wszystkie podawane przyczyny są tylko przypuszczeniami. Ile mi wiadomo z dawniejszych i nowszych dzieł o chorobach psich i wściekliźnie, są w nich twierdzenia bez najmniejszego jasnego ugruntowania. Nieraz czytałem: „Dotąd nie wykryto przyczyn, z których wścieklizna się rodzi, przypisują ją silnemu rozgrzaniu lub oziębieniu, spożywaniu rozkładającego się mięsa i częstemu powstrzymywaniu od zaspokojenia popędu płciowego“. Najnowsze mniemania sięgają jeszcze dalej i pokrywają istotnie mistyczną zasłoną wściekliznę u psów. W rozmowie z weterynarzami dowiedziałem się z przerażeniem o następnej tezie: „Wścieklizna u psa sama z siebie się nie wyradza, pies tylko wtedy ulega tej chorobie, gdy go pokaleczy pies już wściekły, lub też, gdy w jakikolwiekbądź sposób z takim się zetknie“. To twierdzenie tak mnie poruszyło, iż zapomniałem się zapytać, który to doktor-przyrodnik taką tezę postawił? Dziwne ale prawdziwe! Gdy Bóg stworzył świat i swoją wolę wypowiedział: „Niech będą ptaki w powietrzu, ryby w wodzie i inne zwierzęta na ziemi“, to zapewne najdobrotliwszy Stwórca stworzył też wściekłego psa. Szkoda, że mi uczony weterynarz nie dał wyjaśnienia, czy wściekły pies pojawił się już w chwili stworzenia świata, lub po upadku naszych pierwszych rodziców, albo też dopiero po bratobójstwie Kaina? Nie, on bredził o Darwinie i ostatecznie bez dalszego wywodu stanowczo twierdził, że „ta teza niewzruszoną jest pewnością“. Zaprawdę bardzo to nauczające! Powziąłem wstręt do dalszej rozprawy z panem weterynarzem, bo wszelkie jego wywody były cytatami z dzieł doktorów i profesorów weterynaryi, *à la* Bischoff i Ziegler w sprawie rui sarn. Bardzo tu odpowiednie stare przysłowie: „Za panią matką idzie pacierz gładko“.

Moje przeszło 30letnie badania wścieklizny u psów inaczej mnie pouczyły, zestawię je w jak najkrótszych zarysach i poproszę szan. czytelnika o podanie swoich badań i spostrzeżeń, a może nam praktycznym myśliwym łatwiej się powiedzie odsłonić tajemnicę, którą panowie weterynarze czarnym kirem pokryli.

Niepodobna zaprzeczyć, że każde stworzenie powołane do życia, przebywa proces czyszczenia się krwi i soków. U człowieka widzimy w dzieciach odrę, ospę, różnorodne wysypki na ciele, które według swych właściwości przez lekarzów usuwane bywają. Również pojawiają się przeważnie u dzieci dławiec (angina), dyfterya i tym podobne choroby. U konia znaczy się czyszczenie krwi zołzami, u psa, według mego silnego przekonania, nosacizną, której pojawy wymienię niżej i zestawię je z ludzkimi. Rozpatrzmy się w objawach odry lub ospy u dzieci. Miłościwa matka najlepiej nam je określi. Chore dziecię traci apetyt, dostaje gorączki, sen jego niespokojny, nawiedzają je nudności; wreszcie rozwinęła się choroba, odra lub ospa występują w czerwonych plamach na całem ciele, chore dziecię cierpi nieustannie na swędzenie, trze oczy i twarz. Podobne pojawy spostrzegałem u młodych psów, chorych na nosaciznę. Brak apetytu, gorączka, roniące oczy, skłonność do wymiotów, ocieranie łapami oczów i lizanie ropiastych pęcherzyków, pojawiających się koło brzucha. Jak u człowieka, tak też u psa są to pojawy czyszczenia się krwi. Aby zaradzić wyższemu stopniowi choroby czyszczenia się krwi przez ospę, wprowadzono u ludzi szczepienie. Dzieje się to w Europie za pomocą krowianki, mieszkańcy zaś Azyi używają innego sposobu szczepienia. Niemowlęciu robią bardzo ostrym, kończastym nożem na rączkach i nóżkach w rozmaitych kierunkach wcięcia, rany jątrzą się mocno i czyszczą krew. Podobny rodzaj szczepienia widziałem wykonywany na psach, aby, jak utrzymywano, ochronić je od nosacizny i wścieklizny. W Hermanstadzie, na Siedmiogrodzie, pewien rzeźnik, a zarazem namiętny myśliwy czynił na młodych psach następne doświadczenia: Ostrym nożem robił wcięcia na końcu ogona psa, skręcał potem palcami zacięty koniec i wyciągał z niego biały, nitkowaty nerw. Rana wytworzona przez zacięcia i skręcanie ogona jątrzyła się niemal przez dwa tygodnie, wcale się nie gojąc, a w trzecim tygodniu nie było najmniejszego śladu rany. Sprowadzano do tego rzeźnika z bliska i z daleka psy w celu wykonania tej operacyi i opowiadali mi wiarogodni

ludzie, że pies, na którym takiej operacyi rzeźnik dokonywał, nie podlegał nigdy żadnej z psich chorób i nie było wypadku wścieklizny. Naturalnie dyplomowani weterynarze krytykowali i ośmieszali tę procedurę podobnie, jak to czynią nasi medycynierzy z sposobem szczepienia azyatyckim.

Natura i organizm człowieka odmienne są od psiego, więc też i przebieg choroby jest innego rodzaju, a jednak żołądek u obu stworzeń jedną i to najważniejszą gra rolę. Żołądek jest głównym czynnikiem w życiu człowieka i każdego stworzenia. Aby wyrokować o chorobach ludzkich, trzeba być wszechstronnie wykształconym lekarzem, nie ośmielam się przeto szerzej o tem mówić i przechodzę wprost do chorób psów.

W porównaniu z chorobami człowieka jak: odrą, ospą, wyższego stopnia durem (tyfus), czarną ospą, zarazą i t. p., widzimy też podobne choroby u psów. Najniższym stopniem jest psia zaraza, następuje nosacizna, a wreszcie wścieklizna. Do tych głównych chorób przyłączają się przeróżne tak wewnętrzne, jak zewnętrzne, które niczem innem nie są, jak następstwem psiej zarazy, a względnie nieprawidłowo przebytej, lub nieradykalnie wyleczonej choroby czyszczenia się krwi. Przy psiej zarazie uderzającym i najwyraźniej występującym pojawem są oczy roniące, z czego wytworzyć się może ślepota. Następnie poczyna pies tracić siły, mało je i rusza się, ciągle spi i w końcu ledwie włóczy za sobą strętwiałe tylne nogi, brzuch zapada, występują pęcherzyki ropiące, przez weterynarzów uznane za psią ospę; średnia część ciała nabrzmiewa, a ciecz płynie z pyska i nosa. Zwykle trwa choroba nie dłużej jak dni 8, gdy wszakże nie radzi się środkami leczniczymi, to pozostają jej ślady przez cały rok, psy ślepną lub wychodzą z tej choroby z krzyżami porażonymi.

Moje gruntowne badania stanowczo mnie pouczyły, że właśnie ta choroba ma dokonać oczyszczenia się krwi z soków. Ma ona tę właściwość, iż siedliskiem jej jest żołądek. Tak jak zanieczyszczenie krwi i soków może nastąpić w żołądku, tak u psa proces czyszczenia krwi dzieje się w przeciwny sposób. W żołądku gromadzą się wodniste substancye, posiadające właściwą sobie ostrość. Gdy tego rodzaju czyszczenie krwi się objawi, to uwidocznia się ono objawem utraty apetytu u psa. Jeżeli chory młody pies idąc za swym instynktem nie znalazł środka usunięcia tej ostrej, żrącej substancyi, to pojawia się wtedy wręcz przeciwne działanie. Substancya żołądkowa dokąd jest wodnistą, przenika organizm psa, co na jaw występuje, gdy pies poczyna tracić siły, ropiące pęcherzyki się okazują, a brzuch zapada. Mała część żrącej substancyi przeciska się z żołądka do przewodu oddechowego, osiada w jamie krtaniowej i na oczach chorego. Ten objaw choroby rzadko się zdarza i tylko u psów na wolności trzymanych, których żywienie nie sprzeciwia się ich naturze. U psów, których wychowanie i żywienie jest nieprawidłowe, które często zupełnie pozbawione są wolności, albo nieodpowiednio są leczone, występuje zaraza psia w wyższym stopniu, i to jest nosacizną *(Staupe)*. W żołądku tworzy się z wodnistej substancyi ciągnący się kleisty, zupełnie do białka podobny śluz, a pojawami są: gorący, suchy nos, ciągłe parskanie i kaszel, skłonność do wymiotów, a przytem niekiedy wychodzi nieco ciągnący się zielonawo-żółty śluz. Gdy obrzmiewa głowa, ropieją oczy, a z nosa ciągnie się obficie gęsty płyn, to leczenie jest łatwiejsze, w przeciwnym razie pojawiają się kurcze, porażenie krzyża, wtedy kuracya staje się trudną i bez pomyślnego rezultatu mimo najtroskliwszych starań. W skutek nagromadzenia się w żołądku kleistego śluzu, wytwarza się zaparcie i zgęstnienie soków i czynność żołądka ustaje. Łatwo zrozumieć, że z powodu zgęstnienia i nieruchomości soków powstaje rodzaj zatrucia owych soków. Jak już wyżej przy zarazie psiej wspominaliśmy, obiega ta ostra substancya cały organizm; przy nosaciźnie musi się dziać toż samo i to w ten sposób, że wodniste substancye udzielają się sokom krwi i je zatruwają, kleista zaś substancya pozostaje w żołądku. Kleista ta substancya jest sama przez się w odpowiednich warunkach jadowitą i zaraźliwą, przeciska się przez przewód oddechowy, osadza się silnie i swoją ostrością wywołuje kaszel. Substancya ta osiada również w pysku psa, co wszakże rzadziej się zdarza, pies stara się nieustannem poruszaniem górnej i dolnej szczęki usunąć tę kleistą i gryzącą substancyę, co mu się wszakże nie udaje i tylko obfitą pianę wywołuje. Aby sobie ów proces jasno przedstawić, wystarczy wylać nieco białka na powierzchnią jednej ręki, a drugą ręką silnie uderzyć, wtedy utworzy się wnet z białka piana. Gdy owa piana u psa się pojawi, to choroba dosięgła już najwyższego stopnia, a jeżeli klimatyczne wpływy wywołały rychło zakażenie przez chorobę zgęstniałych soków, wtedy wywiązuje się wścieklizna. Zachodzi pytanie, czem jest ów jad, czy się wytwarza w krwi psa lub w skutek rozkładu kleistego śluzu, osiadającego w żołądku, pysku i przewodzie oddechowym. Jedno i drugie można przyjąć. Zakażenie krwi może być skutkiem niedostatecznego oczyszczenia się krwi, lub też wytworzył się z tejże przyczyny z kleistej substancyi w nieoczyszczonej krwi jad. A cóż to jest ów jad? Według mego zdania zgnilizna, a każda zgnilizna rodzi bakterye (mikroby).

W jakim stanie znajduje się pies wściekły? Sądzę, iż jest to rodzaj szału. W celu bliższego objaśnienia i stwierdzenia tej tezy, muszę powrócić do różnorodnych pojawów nosacizny. Niejeden z łaskawych czytelników dostrzegł u psów, u których w skutek nosacizny objawiły się kurcze, że pies, skoro uśmierzy się paroksyzm kurczów, szybko się zrywa, a następnie chwiejnie postępuje, uderza o przedmioty i wreszcie głowę w jakiś ciemny kąt wtyka, pysk otwiera, z którego gorący wychodzi oddech. Objaw ten wynika z nacisku krwi na nerwy w głowie; wtedy oko cierpi, wzrok się osłabia i nie znosi jasności. Zdarzały mi się wypadki, że pies, gdy go kurcze opuściły, w ślepocie chwytał zębami jakikolwiek przedmiot i tak długo go trzymał lub gryzł, aż nacisk krwi do głowy ustał, a gdy to się stało, żarł chciwie podstawioną mu strawę. Niedawno czyniłem spostrzeżenia na dwóch psach, nawidzanych po kilka razy w dniu przez kurcze. Początek kurczów był istotnie zupełnie do napadu wścieklizny podobny: naprzód nastąpiło silne zgrzytanie zębami, chwytanie powietrza, dalej nieustanne kłapanie zębami i wystąpiła piana. Te pojawy trwały 4 do 5 minut; nagle przyszły kurcze, nogi zesztywniały, pies chciał się podnieść lecz nie mógł, rzucał się w tę i ową stronę, tak, jakby jakaś niewidoma siła nim miotała, sztywne nogi poruszały się jak gdyby w szybkim biegu Jeden z tych psów po 15 takich napadach kurczów zginął, drugi zaś, u którego pojawiły się kurcze ledwie dwa razy w dniu, w przeciągu 3 do 4 tygodni wyzdrowiał Leczenie o tyle było łatwiejszem i pewniejszem, że przed użyciem mego środka żadnego innego nie używano. Pierwszego psa leczył weterynarz i wcelu uśmierzenia gorączki przepisał środek, którym wywołał spotęgowanie się choroby, jakkolwiek na kilka dni przerwał gwałtowny jej wybuch. Trzeciego psa przy pierwszym napadzie kurczów oblano zimną wodą i zgubiono go tem bez ratunku; u tego psa spostrzegłem pojawy zupełnie podobne do wścieklizny. Za wiele musiałbym mówić, gdybym chciał przy-

toczyć wszystkie przykłady, które badałem w ciagu mojej długoletniej praktyki, wystarczy, jeżeli w ogólności wskażę symptomy, które niezawodnie każdy, a nawet dyplomowany weterynarz będzie uważał za wściekliznę, a jednak jej tam nie ma, bo jeszcze nie nastąpiło wytworzenie się jadu (bakteryi, mikrobów).

Nosacizna najróżnorodniejszy wywołuje wpływ na organizm psa, a za tem idą rozmaite pojawy. Wiele tu zawisło od rasy i pożywienia psa, mniejszej lub większej swobody, od wieku, wreszcie czy pies przebył psią zarazę, jak go leczono lub też sam się instynktowo leczył, czy wyleczenie było radykalne lub też choroba była na chwilę przerwana, w końcu zależy od pory roku, przechód bowiem z zimy do wiosny, albo z lata do zimy, gwałtowną zmianą temperatury działa nader silnie na rozwój choroby. Wyższy stopień nosacizny wyraża się następnymi oznakami: W lecie szuka pies miejsc skwarnych, w zimie gorącego pieca, nawet płomienia; dostrzegałem u psów, że całą głowę wtykały w otwór pieca. To szukanie wyższej temperatury jest najpewniejszą wskazówką, że nosacizna silnie się rozwija. Gdy się widzi u psa, użytego do polowania na mokrym gruncie lub zwilżonej trawie, że jedną lub drugą tylną nogę lub przednią kurczowo ku sobie ściąga, to jest to oznaką jeszcze gwałtowniej wybuchnąć mającej choroby. Gdy pies ogrzewa głowę i kark a przy tem pokaszluje, wtedy naciska śluz z żołądka na jamę krtaniową i przewód oddechowy, a tem samem na mózg zdrowego jeszcze pozornie psa. Gdy się pojawi kurcz w nogach, to nacisk działa na rdzeń pacierzowy. Nagle w skutek wpływów atmosferycznych rozwija się gwałtownie nosacizna, uważana przez nieświadomych rzeczy, a nawet przez weterynarzów za wściekliznę. Choroba jeszcze nie mogła tak psa osłabić, iżby nie mógł rwać się do szybkiego i dalekiego pędu, albo też nacisk na mózg był tak nagły i silny, że pies stał się jakby porażonym, wzrok jego słabnie, źrenica otacza się mgłą, oczy zabiegają krwią i żarzą się. W takim razie pies chodzi po pokoju lub wietrzy w koło murów. Rzecz to bardzo naturalna, chory szuka wyjścia, swobody, aby szybkim biegiem się rozgrzać aż do potu. Gdy nacisk śluzu z żołądka działa także na jamę krtaniową, to pies chwyta przedmioty nasuwające się i gryzie je w celu usunięcia jakimkolwiek sposobem tej kleistej, żrącej substancyi z jamy ustnej. Nieraz dostrzegł myśliwy, że wyżeł jego na polowaniu, wyszedłszy z domu zupełnie zdrowym, nagle się zwrócił, pana swego porzucił, i w najszybszym pędzie umknął. Takie psy uważane bywają jako wściekłe i zabija się je strzałem; ja tego nigdy nie czyniłem, starałem się je wyleczyć i zyskałem tem wiedzę, a doświadczenie odsłoniło mi niejedną tajemnicę przyrody.

Nieraz się zdarzało, że pojawił się wynędzniały, osłabiony pies, ktorego nigdy w tej okolicy nie widziano. Uważany bywa zwykle za zbłąkanego zupełnie mylnie; on nawidzony został przez nosaciznę, a w celu ratowania się biegł w szalonym pędzie, aby potem oswobodzić się od żrącego śluzu. W tym pędzie unika wody, bo instynktem chroni się od zaziębienia. Taki pies bywał niby słusznie, a jednak najczęściej niesłusznie za wściekłego uważany. Zdarza się to, gdy nacisk zakażonych, zgęszczonych soków działa na mózg. Jeżeli ów nacisk zwraca się na rdzeń pacierzowy, to wyleczenie jest najczęściej niemożliwe, bo wówczas pies nie ma sił do instynktowego ratowania się, wtedy ludzka ręka musi mu przyjść w pomoc, jeżeli już nie jest zapóźno i nie nastąpiło zupełne zakażenie krwi i soków w skutek wpływów atmosferycznych lub innych przyczyn. Doświadczenie pouczyło mnie szczególnie w ostatnich czasach dostatecznie, iż gdy pies po zażyciu przezemnie przyrządzonego środka nie wyrzuci z siebie przez wymioty kleistego, ciągnącego się śluzu obficie, a przytem wystąpią wyżej wskazane pojawy, to naówczas jest dla mnie rzeczą pewną, że zakażenie przeszło z żołądka do soków i krwi, a w następstwie do płuc, mlecza pacierzowego i mózgu, a wyleczenie chyba cudem może być dokonane. Ów ciągnący się kleisty śluz leży jakby przylepiony na ścianach żołądka, w jamie krtaniowej i przewodzie oddechowymi zwykłymi środkami wymiotowymi nie da się wyprowadzić. Instynkt wskazuje psu najlepiej, gdzie ma szukać pomocy, niestety przykuty do człowieka nie zawsze może jej szukać.

Patrzmy z całą rozwagą na psa, szczególnie młodego aż do jednego roku życia, a spostrzeżemy, iż szuka on traw, słomy, starej skóry, kału ludzkiego i końskiego, nawet kału drobiu, żre je chciwie, gryzie szczególnie drzewo. Przypadek zdarzył, że mogłem na własnym młodym psie zrobić spostrzeżenie, gryzł on szczególnie chętnie drzewo, zawierające w sobie wiele części żywicznych. W celu dokładnego zbadania rzeczy rzucałem pieskowi różne gatunki drzewa: bukowe, dębowe, brzozowe, sosnowe i dostrzegłem, że obwąchawszy wszystkie, chwytał sosnowe, gryzł je i rozdrobione kawałki połykał. Następnie odebrałem mu drzewo sosnowe, zostawiając bukowe, dębowe i brzozowe, pies obwąchiwał je ale nie chwytał żadnego z nich i szukał wszędzie, a nie znalazłszy sosnowego chwytał brzozowe, zawierające, lubo w mniejszej ilości jak sosnowe, części żywiczne. Aby się przekonać dla czego właściwie pies tak chętnie chwyta i gryzie drzewo sosnowe, rzuciłem mu kawałek bardzo żywicznej sośniny i patrzałem uważnie. Gdy już przeszło 20 minut gryzł drzewo i części żywiczne chciwie połykał, opadły go nudności, a w skutek lekkich wymiotów, wypływał z pyska ciągnący się szklisty śluz, zmięszany z drobniutkimi kawałeczkami drzewa i jeszcze drobniejszemi ziarnkami żywicy. To spostrzeżenie nauczyło mnie wiele i służy mi za podstawę do zaprzeczenia mylnych zdań i twierdzeń weterynarzów, niemniej też jako dowód mego mniemania, że źródłem wścieklizny u psa jest zaraza psia, a względnie niedokonane oczyszczenie krwi i soków, a zatem gromadząca się kleista, do białka podobna masa śluzu, która w wyższym stopniu psiej zarazy w nosaciznę się wyradza.

W dziełach weterynarskich czytamy jako niezbity fakt, że gdy pies trawę, słomę, drzewo, kamienie i inne przedmioty liże, gryzie i połyka, to jest to niezawodną wskazówką mającej wybuchnąć wścieklizny. Ja jednak twierdzę, iż czyni on to jedynie z tego powodu, aby nagromadzony w żołądku śluz wydzielić i wymiotami wyrzucić. Mnogie na psach dokonane sekcye pouczyły mnie, że żołądek, gdy pies w czasie choroby żadnego pokarmu nie przyjmował, był jakby wyschnięty, śluzu znajdowałem mało lub wcale go nie było, natomiast widziałem źdźbła słomy, trawę, włosy, kawałeczki drzewa, piasek, części wapienne i tym podobne przedmioty, co mnie utwierdziło w przekonaniu, że śluz się rozdzielił w cały organizm, a ponieważ zbyt osłabiony żołądek już czynnym być nie mógł, przeto połknięte przedmioty pozostały w nim.

Porównajmy przezemnie wskazane spostrzeżenia, oparte na praktycznem badaniu, to musimy koniecznie dojść do ostatecznego wniosku, że źródłem wścieklizny jest nagromadzony w żołądku w skutek procesu czyszczenia się krwi śluz. To, według mego zdania, jest prawdziwe źródło wścieklizny, ale cóż właściwie jest przyczyną jadu? Jak już wyżej wykazałem, jad wytwarza się w zepsutych sokach i krwi, udziela się żołądkowi, zkąd śluz przechodzi przez przewód oddechowy do

pyska psa, który pragnąc go usunąć nieustannie szczękami porusza i tem wywołuje pjanę. W niej naturalnie znajduje się także jad, czyli mikroby, które gdy pies ukąsi człowieka lub innego ssawca dostają się do krwi i wywołują straszną chorobę wścieklizny. Lecz dla czegoż pojawia się wścieklizna u psa sama przez się, dla czego nie u człowieka lub u innych zwierząt, konia, krowy, świni i t. p.? Po prostu z tej przyczyny, że tryb ich życia jest inny, ich pożywienie odmienne, zwłaszcza tych zwierząt, które żywią się trawami i plonami polnemi; te się same leczą, spożywając trawy i zioła, posiadające siłę usuwania tej choroby. Zwierzęta drapieżne, więc mięsożerne na wolności, umieją szukać środków zaradczych, pies zaś przykuty do człowieka i do domu wskazuje nam dokładnie, co mu trzeba od uchylenia się od tej strasznej choroby, mianowicie wyszukiwaniem traw i ziół, które od wiosny aż do zimy chciwie spożywa Skuteczność cudowna wielu tych ziół jest dla człowieka tajemnicą. Teorya umie je, jak w ogóle rośliny, rozklasyfikować, doświadczenie też ludzi praktycznych, badaczów przyrody i adeptów medycyny wskazuje ich skuteczność. Gdyby zwierzęta umiały mówić i nazwać nam owe różnorodne rośliny, jakie idąc za instynktem wyszukują, wówczas z łatwością moglibyśmy niejedną tajemnicę przyrody odsłonić. Podjąłem trud badania exkrementów lisich i znalazłem w nich włos lub pierze pożartych młodych zajęcy, myszy lub ptactwa. Z razu sądziłem, że on je trawi, ale się omyliłem. Przypadek pozwolił mi stwierdzić moje mniemanie. Stałem na kraju lasu, zakryty grubym bukiem i przypatrywałem się lisowi, który w trawie na bliskiej łące pilnie szukał i wszystko w koło siebie wietrzył. Odległość wynosiła zaledwie 60 kroków. Naprzód zdawało mi się, że on szuka swego ulubionego przysmaczka, młodego zająca, kuropatwy, lub przepiórki, wkrótce jednak zmieniłem przekonanie. Lis coraz bardziej się zbliżał, a bystrem i wprawnem mojem okiem widziałem dokładnie, że zębami zrywał trawę i połykał ją. Skuteczność traw wnet nastąpiła, mekita silnych dostał wymiotów, a przytem wypróżnienie z żołądka było obfite. Zaledwo się to stało, znikł lis tak szybko, że zagłębiony w mojem badaniu nie miałem czasu temu wrogowi zwierzyny posłać morderczego strzału. Ciekawością wiedziony udałem się na miejsce, gdzie lis używał kuracyi i byłem silnie przekonany, że przeładował sobie kołądek młodym zającem lub ptactwem i bez porady lekarskiej sam sobie zaordynował środek zaradczy, a dokładne zbadanie ekskrementów dowiodło, że lis włosów i pierza pożartej zwierzyny nie strawił i w ekskrementach nie wyrzucił, lecz wyszły one przez wymioty zmięszane z kleistym, ciągnącym się szluzem, w postaci drobnych kuleczek. Mogłem przeto na pewne wnosić, że włosy i pierze drażniąc służyły lisowi do wyrzucenia z żołądka szluzu. Toż samo zapewne się dzieje u innych drapieżnych mięsożerców, których organizm, a szczególnie żołądek, tak jest ukształcony, iż włosów i pierza w ekskrementach nie wyrzuca. Pies i wilk wydziela włosy i pierze w ekskrementach, z tego powodu wydzielenie szluzu, szczególnie u psa domowego, odbywa się bardzo trudno. Dziki lub na wolności żyjący pies, również wilk, które pochwyconą zdobycz w całości pożerają, rzadko lub wcale nie podlegają wściekliźnie lub innej groźniejszej wewnętrznej chorobie, wywołanej w skutek gromadzącego się w żołądku kleistego szluzu i wytworzonej przez oczyszczenie się krwi.

W pewnym leksykonie znalazłem następne twierdzenie o psiej zarazie: „Jeżeli chory pies jeszcze chciwie pożywienie przyjmuje, należy rozgotować pokrajanego w kawałki zająca lub królika w mleku i podać jako strawę choremu, wtedy włosy wydzielą wraz z ekskrementami szluz z żołądka“. Starzy, praktyczni myśliwi leczyli chore na nosaciznę psy w następujący sposób: Brano w równych częściach żywicę sosnową, olej lniany i aloes, rozgrzewano na małym ogniu i dorzucano pokrajaną szczeć świńską, tworzono następnie kulki (pigułki), wielkości laskowego orzecha i dawano psu dwie takie pigułki z mlekiem ciepłem, jakby prosto od krowy, tak długo, aż pies wyzdrowiał. Środka tego używają jeszcze i teraz, nie wiedząc właściwie dla czego. Żywica posiada siłę rozcieńczania szluzu i odjęcia mu kleistości, szczeć mięsza się z nim, olej lniany i aloes wywołują silne wypróżnienie i tym sposobem wyrzuca się szluz z żołądka i zapobiega zupełnemu zgęszczeniu soków. Żywica drzew iglastych, brzozy i różnych innych roślin, poszukiwaną jest przez dzikie zwierzęta i chciwie spożywaną. Instynkt zwierzęcy więcej tu znaczy jak cała przemądra medycyna, która jeszcze w kolebce drzemie i drzemać nie przestanie, jak długo nie usunie upornego twierdzenia, że tylko teoretycznie odbyte studya i dyplomy upoważniają do wskazywania i wytwarzania środków zaradczych. Jak długo niedyplomowanemu, bliżej wglądającemu w tajniki przyrody odmawia się prawa używania środków leczniczych, przed sądy go pozywa, nie wprowadza leków przez ludzi praktycznych do zakładów leczniczych i nie uznaje słuszności ich zdania o rozwoju chorób, szczególnie u zwierząt — tak długo medycyna, a zwłaszcza weterynarya, istotnego postępu czynić nie będzie. Dziwne! aptekarzowi, który wcale nie zna natury psa, konowałowi, zajętemu tylko końmi, wolno sporządzać i zapisywać leki, praktycznemu zaś myśliwemu, który z gorliwością bada właściwości psa, nie wolno rozpowszechniać środków, istotnie skutecznych, jego twierdzenia bywają przez dyplomowanych ośmieszane i rugowane tylko dla tego, że nie ma dyplomu, nie robił examinów, bez względu, iż skuteczność tych środków polega na niezaprzeczonych faktach.

Do takich niedyplomowanych i ja się zaliczam. Środek przezemnie wynaleziony uznany jest w skuteczności swojej w mnogich wypadkach, chlubnemi mogę to stwierdzić świadectwami, niech więc łaskawi czytelnicy nie wahają się użyć go w chorobach psów i raczą ogłaszać w „Łowcu“ lub innem piśmie czasowem rezultaty użycia tego środka, a nie wątpię, że wkrótce szeroko rozpowszechniony będzie z istotnym pożytkiem.

KNIAŹ-KŁUSOWNIK

przez

Aleksandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

„Nie ma lepszego polowania, jak w *syngeltona*, szczególnie w kniei, tam mój pokurcz - wyżeł Bekas sylabizował zwykle basem po tropach, ja zaś niechybnie strzelałem, bom wiedział dobrze, jak to sarna, zając, wreszcie lis przed psem wolno goniącym chodzą. Wie stary wróbel, gdzie dziura w strzesze, wiedziałem też i ja, kędy drożyny, przesmyki lub jamy lisie, że sarny obłożywszy miot ostojny przejdą w drugi, więc staję na skraju. Psisko gdzieś daleko bąka, a stadko sarn to po-

mknie, to przystaje nasłuchując, wtedy ja palę w zwartą gromadkę, drugi raz poprawiam do rozpierzchłych, i często dwie albo trzy sztuki położę. „Ten tego panie dzieju“ z dzikami to już inna sprawa. Skoro otropię stado, biorę Bekasa do nogi, okrążam miot, aby się dowiedzieć, czy wyszły, jeżeli nie, to w tych sośniakach obległy pewnie, bo tam ogromne kopce (mrowiska). Gdy śnieg duży, to niema lepszego miejsca na barłogi, jak mrowisko, bo tam i podściółka wyborna i ciepło na ziemi niezamarzłej. Więc podchodzę ostrożnie, aby przedwcześnie maciory nie fuknęły, ostrzegając tulące się przy nich warchlaki. Dzicze stada oblęgają zawsze według jednej reguły. Najwygodniejszem miejscem na barłogi jest oparzysko, gdy knieja nisko położona, lub podnóże pnia grubej sosny, której rozłożyste konary niby rozpięty baldachim zwisając, nie dopuszczają opadania śniegu na kilka łokci około drzewa, więc miękko tam na grubej warstwie opadłych zeschłych szpilek sosnowych; lub wreszcie kopiak mrówczany. Ostatnie obiera sobie odyniec prawem mocniejszego na barłóg, reszta stada skupiwszy się zalega w pobliżu swego dowódzcy. Gdy mróz wielki, okrywa się odyniec niemal cały mrowiskiem, reszta dzików układa się gęsto przy sobie, głowa jednego przy grzbiecie drugiego, warchlaki przy matkach, i tak ogrzewają się nawzajem.

Pomnę raz „ten tego panie dzieju“ wybrałem się w las, należący do miasta Bełza. Zima była mroźna i śnieżna, częste były ponowy, więc tropy znać było, jakby je wypisał. Przenocowałem w karczemce przy „Biskupiej drodze“, środkiem lasów Bełzkich do Prusinowa, Woronowa, Ostobiuż aż do miasteczka Uhnowa wiodącej. Karczemkę trzymał rudy Wołko, który niemało odemnie nakupił skórek lisich, kunich i wydrzych. Nazajutrz przed świtem ruszyłem w las z nieodstępnym moim pokurczem Bekasem. Mróz był siarczysty, a śnieg w lesie po kolana, dążę w stronę, gdzie las przytykał do samych niemal błot Bełzkich. Wiedziałem z doświadczenia, że w owej skrajnej części przebywać zwykły sarny, bo na dostępniejszych młaczkach i oparzyskach nawet w zimie nie zamarzających, rośnie bujnie rzeżucha wodna, którą sarny bardzo lubią, więc podczas zawalnej zimy jest ona jedynym ich żerem w tych wysokopiennych sosnowych, dębowych i olszowych lasach. Sośniaki jakkolwiek niskie, więc przystępne dla sarn swymi wierzchołkami, chyba w ostateczności bywają przez nie ogryzane. Dziki zachodzą tam w lecie dla chłodzenia się, w zimie dla łatwości buchtowania i żerowania korzeniami łopucha, szczawiu końskiego, żywokostu i chwastu z rodzaju dzikiego pasternaka z grubymi i słodkimi korzeniami. Buchtowanie tam łatwe na torfowatej, niespoistej i nigdy nie zamarzającej ziemi. Tropów było mnóstwo sarnich, bo zające w tej dzikiej stronie wcale nie przebywają. Już chciałem podłożyć Bekasa, ale spostrzegłem świeże tropy dzicze. „Ten tego panie dzieju“, ciągnął dalej Możarowski zapalając się i dorzucając niekiedy ruskie zaklęcia, których powtarzać mi niepodobna — „Bekas do nogi“! i krążę w koło szukając, gdzie też dziki obległy. Las w tem miejscu był rzadszy, a raczej dzieliły go halawki moczarkowate, więc potworzyły się kręglaki, smugi, a w koło drożyny i ścieżki. Miejscami rosły sosny karłowate i koszlawe, jak zwykle na mokrym gruncie, miejscami znów gęsta i młoda sośnina, a wszystkich konary pokryte śniegiem, bo od pierwszego śniegu aż do wiosny nieprzerwana panowała cisza, więc śnieg grubą warstwą zalegał na rozłożystych konarach sosnowych. Żłób wyryty w śniegu przez stado dzicze, zmierzał ku wysokiemu kręglakowi. Brnę przez gąszcze, jakkolwiek zwolna postępowałem, śnieg jak lawina zasypywał mnie i Bekasa. Mokry byłem cały od topniejącego śniegu i obfitego potu, wyżeł prychał zawzięcie; za co dla uspokojenia go dostał kilka razy obcasem. Ponieważ dziki nie wyszły z kręglaka, więc poczynam podchodzić nie wprost tropem, boby mnie dziki mogły spostrzedz lub też zbliżyłbym się ku nim nadto, i jakkolwiek szybko na cel chwytam, nie miałbym swobodnego strzału. Zawsze wówczas mierzyłem w komorę lub poza ucho, aby zwierz po strzale nie uchodził daleko i nie padł w miejscu, którędy ludzie chodzą lub straż leśna. „Kruczu, werczu, siudy tudy“, wreszcie widzę w odległości może 150 kroków leżące, skupione dziki. Mróz siarczysty, słońce zaszło właśnie w stronie dzików, więc wyraźnie spostrzegam parę nad nimi. Wyborna moja dubeltówka Ferlachówka nabita była kulami. Mam ją dotąd, ho, ho, ten tego, panie dzieju, za sto dukatów jej nie oddam. Okrążam coraz mniejsze zakreślając koło, już tylko sto kroków od kupy, już 60, stanąłem za sosną rozmyślając, jak strzelać, w środek kupy źle, kule mogą tylko drasnąć grzbiety. Ha! poruszyć stado, więc Bekas: pyf! Pomknął żywo i zbliżywszy się na kroków kilkanaście począł ujadać. Stara samura naprzód fuknęła groźnie, poruszyła się cała kupa. Bekas zuchwale nacierał wcale nie odstraszony fukaniem. Wreszcie samura obces rzuciła się na psa, który stuliwszy ogon ku mnie uchodził. Wymierzyłem, padł strzał, a samura ugodzona w komorę podskoczywszy gwizdem ziemię zaryła. Po strzale stado się rozbryzgnęło i pomknęło w las. Drugim strzałem powaliłem sporego wycinka. „Ot tobi harazd, jak na nyni dost!“ Nie było wtedy leśniczego w lasach miejskich, bo się z e g z i ł, czy go też sławetny magistrat odprawił, następcy jeszcze nie wyszukano, a gajowi nie czując nadzoru nad sobą dobrze chrapią w chatach na przypiecku. Wracam tedy do karczemki, zaprzęgam chabety żydowskie do sani, zabieram ubitą zwierzynę i ruszam z nią do miasteczka Wielkich Mostów. Stał tam wówczas szwadron huzarów księcia Koburga, oficerami byli magnaci węgierscy, niemieccy, włoscy, a nawet angielscy. Młodzież polska bogatsza zaciągała się także do kawaleryi. Restauracyę, rodzaj resursy oficerskiej, trzymał katolik, furman niegdyś ś. p. Józefa Dzieduszyckiego, oficera napoleońskiego, człowieka wielkich cnót. Ów furman zawsze chętnie nabywał u mnie zwierzynę. Sprzedałem dziki i około 10. w nocy wróciłem do karczemki przy Biskupiej drodze. Jakoś nie miałem ochoty spoczywać, więc ruszyłem na sarny. Noc była mroźna, ale widna, księżycowa. Wołko zapewnił mnie, że gajowi, sutą odprawiwszy libacyę w karczmie, wcale w lesie nie byli i nic o ubitych dzikach nie wiedzą. Mówi on do mnie: „Możeby jegomość zabił lisa albo kunę, a dalibóg co jest takie wielgie, jak ot ten pański pies, Makar mi o tem mówił. Jak pan chce, to poślę za nim, wun pokaże, gdzie oni są, wun nie zdradzi, za kieliszek okowity duszę sprzeda“. „Nie, pójdę na sarny“. „Co sarny, lepiej na lisa, jabym kupił i dobrze zapłacił“. Mimo namowy żyda, uwiązałem Bekasa, aby mi nie przeszkadzał i ruszyłem w las ku granicy Prusinowa, bo tam do lasu przytykają orne pola, zasiane oziminą i spory łan rzepaku. Sarny zwykły na żer wychodzić wieczorem i z pierwszym brzaskiem dnia. Księżyc był w pełni, widno jak za dnia, kroczę utartą drożyną, śnieg nie skrzypi pod nogami, bo kopno. Już dosyć głęboko zanurzyłem się w las. Cisza grobowa, jak zwykle w zimie. Wtem słyszę głos podobny do zażerania się psów między sobą. Podchodzę cicho i osłupiały spostrzegam stado wilków zalegające sam środek drogi i dwóch zapewne samców żrących się z sobą. Stałem jak skamieniały, wreszcie myśl mnie opadła, iż wilki mogą się rzucić na mnie. „Strach ma wielkie oczy“! Nigdym nie był gimnastykiem, ale w tej chwili jak wiewiórka

wdrapałem się na drzewo. Zaniepokoiły się też wilki i poczęły wietrzyć, świecąc oczami, podeszły w końcu pod drzewo, świece swe w górę zadzierając. Mimo kilkunastostopniowego mrozu pociłem się jak mysz, ale czując się bezpiecznym, nie traciłem przytomności. Strzeliłem sarniakiem do najbliższego wilka, który kilka uciąwszy kozłów powalił się na ziemię, reszta pomknęła w las. Do białego dnia przesiedziałem na dębie obawiając się, ażali wilki nie czatują na mnie w celu rozszarpania. Gdy dobrze już rozwidniało, nadciągnęło od strony Prusinowa troje sani. Chłopskim obyczajem nie trzymano w lejcach koni, które ujrzawszy wilka na drodze leżącego, chrapnąwszy głośno pomknęły w gąszcz tak, iż z wielkim mozołem chłopi je powstrzymać zdołali. Zlazłem z drzewa, chłopi poczęli wypytywać, jak ubiłem tego wilka. Opowiadałem zmyśloną historyę, jak wracającego z Prusinowa opadły mnie wilki i jak jednego z nich ubiłem. Wilczysko był wcale duży, więc nie chcąc dźwigać ścierwa, ściągnąłem skórę i zabrawszy ją do torby wróciłem do karczemki. Wilczą skórą zapłaciłem żydowi podwodę do Wielkich Mostów. Syt łupu i sławy wróciłem do domu, aby wypocząć po trudach i doznanych wrażeniach".

Gdybym nie obawiał się znudzić czytelnika, mógłbym wiele jeszcze przytoczyć zdarzeń z życia kłusowniczego mojego kniazia. Dziwny bo to był człowiek, głowa nie tęga, charakter chwiejny i miękki, dający się kierować komukolwiek, gospodarz rolny najgorszy, ojciec niedbały o los swych dzieci, mąż i obywatel bez wartości. Myśliwym był tylko i kucharzem doskonałym, o czem, bywając w Hoholowie, naocznie się przekonałem. Zacznijmy od kucharstwa. Możarowski przy całym swym nijakim charakterze i niegodziwem kłusownictwie, był w gruncie niezłym człowiekiem. Gościnność w swym domu posuwał do utrapienia, od jadła i napitku niepodobna się było wymodlić, ruskiej „prynuki" tam nie brakło. „Jedz, jak mnie kochasz", wołał waląc na twój talerz stosy potraw, mogących nasycić najbardziej wygłodzonego diurnistę lub artystę dramatycznego jakiej wędrownej trupy. „Pij ot ten mały (półkwartowy) kieliszeczek zieleniaczka". — „Ależ nie mogę, trunki mi szkodzą". — „No to przynajmniej zdrowie moje, mojej żony" i jeszcze tam kogoś z obecnych. Tak się odbywały śniadania, obiady, wieczerze. Z wytrwałością, godną lepszej sprawy, brał każdego gościa na męki, okarmił go i opoił nad miarę. Słuszny wzrostem, zawsze z jowialnym uśmiechem, z mnóstwem dykteryjek i przypowieści polskich i ruskich na ustach, często nad miarę zalany trunkiem, umiał szczerą gościnnością ujmować i zmuszać do wyuzdanego ucztowania. Gospodarstwem rolnem i w ogóle interesami zajmowała się żona jego, z domu Malczewska. Pan Antoni miał pod swoim dozorem spiżarnię, lamus, kuchnię i piwnicę. Wstawał ze świtem w zimie i w lecie. Gdy się nie wybrał na łowy, to czynność jego w ciągu dnia była następująca. Naprzód karmił ptaki, których zawsze miał mnóstwo w klatkach, za oknami, w osobnej alkowie. Wychowywał je z młodu. Były tam drozdy, szpaki, dzikie gołębie, sojki, kawki, sroki, nawet drobne pokrzywki. Wszystko to zgłodniałe z brzaskiem dnia czyniło gwar niemały, budząc domowników i gości. Krzątając się około żywienia tej hałaśliwej rzeszy, tłukł się Możarowski po sieni i domu, jak Marek po piekle. Ciekawy to był widok, jak się uwijał, jak umiejętnie palcami, łyżeczką lub piórkiem karmił każde z osobna, różnemi siekaninami mięsa, wątroby, jaj itd. Potem zajmował się ludźmi. Kawę, herbatę, czekoladę przygotowywał sam. Gościowi a nawet rodzinie nie pozwalał opuścić łoża przed spożyciem tego pierwszego śniadania. „Nie dajesz spać, dla czegoż wstawać nie dozwalasz?" — robiłem mu często uwagi. — „Ten tego, panie dzieju, leż i kwita" — odpowiadał z swym jowialnym uśmiechem, kazawszy służącemu zabrać ubranie, aby gość nie usiłował wyłamać się z tej tyranii. Niedługo po pierwszem śniadaniu następowało drugie męskie. Wódka w kilku gatunkach i przeróżne zakąski stanowiły introdukcyę do właściwego śniadania, które składało się z kilku potraw. Potem obiad, podwieczorek z kawą i herbatą, wieczerza z kilku dań, w końcu herbata, a do poduszki kielich wódki, jak mawiał „dla konkokcyi" z zakąską. Latem przy dłuższym dniu i ruchu, znośniejszem było to obładowywanie żołądka, ale w zimie następowało to po sobie nader szybko, było więc istną torturą. Pod względem trybu życia Hoholów trzymał się wiernie tradycyi z czasów saskich Augustów: „Jedz, pij, a popuszczaj pasa". Możarowski byłby w owych czasach wybornym marszałkiem magnackiego dworu lub też kanafarzem klasztornym. Smażył doskonałe konfitury, piekł ciasta, robił nalewki, nawet haftował dywany, poduszki. Zresztą po męsku zajmował się tylko łowiectwem kłusowniczem. W czasie kilku lat trwającego ubóstwa pił nadmiernie, słowem podobnym był do owego hrabi na Wątorach Syrokomli:

On miał swoje cnoty,
Wielkie jednak zbyt ciche i skromne z istoty,
Lubiał wino i bardzo — gdy na nie nie stało,
Raczył się cienkiem piwkiem, lub prostą gorzałą!

W lepszych czasach porzucił wódkę, pił wino, potem piwo, następnie znowu przez jakiś czas gorzałkę, i znowu wracał do wina lub piwa. Był czas, że namiętnie palił tylko fajkę, potem zaś tylko cygara, wreszcie przestał wcale palić, i zażywał tabakę, zawzięcie pchając ją w swój nos wcale nie drobnych rozmiarów. W pewnym czasie zupełnie nie pił, nie palił, nie zażywał tabaki, poczem znowu wracał do jednego z tych nałogów. Tak się działo w ciągu całego życia. Jakiś niepokój wrzał w duszy jego. Naiwnym i dziecinnym był, o czem wymownie świadczy następne zdarzenie, którego naocznym byłem świadkiem. Gościnnością i chętną zawsze uczynnością zjednał on sobie rozgłos w okolicy nie mniejszy, jak dziwactwem, lekkomyślnością i kłusownictwem. Wkrótce po objęciu Hoholowa zgorzał klasztor OO. Bernardynów w Sokalu. Wówczas Możarowski miał się dobrze, Hoholów i Witków nie były obciążone hipoteką, wziął indemnizacyę, przedtem nie wiem z jakiego powodu przez Rząd zakondykowaną. Klasztor po katastrofie znalazł w Możarowskim istotnego, mówiąc po kwestarsku, dobrodzieja, szedł grosz na ofiarę, a zresztą pieczonego i warzonego dostarczał Hoholów Ojcom. Ztąd wynikł serdeczny stosunek pana Antoniego z Bernardynami, a szczególnie z księdzem Markiem, z kwestarza i ekonoma na godność gwardyana podniesionym. Kto był ksiądz Marek, wie cała okolica Sokalska, i na długo tradycya po nim zostanie. Nie chcę dotykać jego kapłańskiego powołania, charakteryzuję go tylko jako człowieka. Dobroduszny, ubogi w duchu, rubacha, wielbiciel płci pięknej, dzielny suszykufel, był w okolicy nie poważany, ale lubiany z powodu właśnie swej prostoty i dobroduszności, jaką się cechował. Dzień św. Antoniego (13. Czerwca) był dniem patrona Możarowskiego, obchodzonym bywał w Hoholowie solennie. Byłem i ja na jednej z takich fet. Nie bardzo było dobrane towarzystwo, dwie wszakże postacie wybitnie się odznaczały, mianowicie Onufry Zbrożek, człowiek sędziwy, rozumny, oczytany, spokojny, istne przeciwieństwo swego długoletniego przyjaciela Możarowskiego i ksiądz Marek, wyróżniający się swą atletyczną postawą, korpusem niepoślednich rozmiarów i twarzą, na której znaczyły się dobroduszność, bezmyślność i prostota. Mieszkając pod Lwowem przybyłem na kilka dni

przed 13. Czerwca do Hoholowa. Mówi mi Możarowski: „Wiesz co, trzebaby się postarać o zwierzynę“. — „Ależ nie pora po temu“ — odpowiadam. — „Ot mi racya, ten tego panie dzieju, a co dam na stół, musi być zwierzyna, jutro skoro świt pojedziemy do Jastrzębicy, jedź ze mną, bo tu znudzisz się z babami“. Jakoż pojechaliśmy samotrzeć, Możarowski, ja i kowal Jacko. Ciekawy był ów kowal. Na pierwszy rzut oka cygan, czarny, wątły, ospą podziubany, tylko duże siwe oczy gorzały płomieniem, a miał wówczas lat więcej jak 50. Jacko po swym panu i mistrzu najsłynniejszym był w całej okolicy kłusownikiem. Mówiono o nim: „Jacko wsio znaje“. Zaglądał on do cudzych stajen za końmi, osobliwie pańskimi lepszej rasy, uprowadzając je lasami na Chołojów i inne pograniczne wsie aż za kordon do Rosyi. Dawniej był paczkarzem czyli przemytnikiem Syt sławy i turmy, gdzie go schwytanego na gorącym uczynku przemytniczym kilka razy w Rosyi osadzono, przybył do Hoholowa i w nim się osiedlił, uprawiając kłusownictwo i kowalstwo, którego się wcale nie uczył. Ów samouk słynął jednak między ludem z robót kowalskich i zagwożdżania koni, o czem na moich koniach się dowiedziałem. Myśliwym i strzelcem, szczególnie w kniei, był wybornym, do ptactwa w lot źle strzelał, często pudłując. Mawiał on: „ptacha strilaty najlipsze do seduszczoho“, stąd nazwano go: *Seduszczyj*, i tak się też odtąd pisał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Lwów — Lipiec.

Pan Chmurowicz korespondencyą swą, umieszczoną w nr. 3 „Łowca“ b. r. wyzwał mnie do dysputy w kwestyi kastrowania psów. Trudna to rzecz w piśmie, które czytuje młódź niedojrzała i *genus femininum* omawiać tak drażliwy przedmiot, rachować się z wyrażeniami dla rozjaśnienia rzeczy niezbędnie potrzebnemi. Owoż jak wieśniak, gdy mu wypadnie użyć słowa nieprzyzwoitego mówi: „przepraszam słonko jasne, was tu obecnych“ i t. d., tak ja przepraszam szan. czytelnika za niektóre ustępy tej rozprawki, nieco drastyczne, ale konieczne.

U wszystkich istot wyższej organizacyi popęd płciowy jest prawem natury. Wyjątki od tej reguły są nader rzadkie, nie ma bowiem w tych istotach osobników *neutrius generis*, jak u mrówek lub pszczół. Skoro przeto mądra przyroda nie utworzyła między owemi istotami płci trzeciej, nijakiej, z przeznaczenia jałowej, to wszelkie strącenie płci do rozpłodu przeznaczonej w jałowość, jest wykraczaniem przeciw prawu przyrodzonemu, jest buntem, za który rokoszanin srogiej doznaje kary. Najlepszym w tym względzie przykładem są ludzie-rzezańcy. Niektórych, jak mężczyzn, należących do sekty „skopców“, fanatyzm religijny i własna wola, innych, mianowicie stróżów haremowych „eunuchów“, gwałt wtrąciły w stan może niższy od zwierzęcego. Ludzie w ten sposób pogwałceni, noszą na sobie piętno klątwy tak w usposobieniu fizycznem jak moralnem. Któż nie zna choćby z opisu takich nikczemnych postaci? Wstręt i litość obudzają te stworzenia, niegodne imienia człowieka.

Niektóre zwierzęta pozbawiamy z istotnym pożytkiem możności rozpładniania się. Im wcześniej odbywa się kastracya, tem większe odnosimy korzyści z tych zwierząt, przeznaczonych na spożycie, albowiem są tuczniejsze i zdrowszy dają pokarm, a nadto dostarczają, jak n, p. woły, spokojniejszych na roli pracowników. Również konie kastrowane, lubo Arabowie i Turcy nawet w kawaleryi regularnej używają tylko ogierów, tracą wprawdzie swą dzielność, ale stają się spokojniejszymi. Korzyści, jakie dają te stworzenia, na spożycie lub do pracy przeznaczone, są widoczne. Nie ma wszakże argumentu, któryby mógł usprawiedliwić kastrowanie psa. Nim przykładami udowodnię, o ile nieużytecznym staje się pies kastrowany, będę się starał wyjaśnić, jak wielkiej zmianie podlega organizm zwierzęcy po dokonaniu tego gwałtu wobec prawa przyrody.

Jak już wyżej powiedziałem, jest uzasadnionym zwyczajem kastrować we wczesnym wieku zwierzęta na spożycie przeznaczone. Ale konie oczyszczone wcześnie stają się mało pożytecznymi tak pod wierzch, jako też do pociągu. W Saksonii i Prusiech kastrowano przez długi czas źrebce w pół roku po urodzeniu. Operacye udawały się bardzo szczęśliwie, bo jak wiadomo, źrebce mają wtedy jądra na wierzchu, dopiero w drugiej połowie roku kryją się one w pachwinach, by z nich, jako już dojrzałe, na jaw się wydobyć, co u źrebców krwi szlachetniejszej w trzecim roku, u rasy zaś pośledniejszej w drugim roku życia następuje, czyli jak mówią hodowcy koni, „źrebiec wypuszcza jądra“. Takie źrebce wcześnie kastrowane, były wprawdzie rosłe i grubokościste, ale niewytrwałe w biegu i leniwe. Dziś w Prusiech i Saksonii nie ma już zwolenników wytwarzania przez kastracyę koniowołów. Źrebiec, z którego ma być wytrwały biegun, z żywym (chyba leń z rodu) temperamentem, nie prędzej jak po skończeniu lat trzech, może być kastrowanym. Zbyt wczesna kastracya, przed rozwinięciem się siły rozpłodowej, zabija całkowicie żywy temperament, a tem samem wpływa szkodliwie na usposobienie moralne. Konie nie mało posiadają pojętności, którą tracą po kastrowaniu. Któż kiedy widział wałacha znakomicie wydresowanego według najnowszej szkoły hippiki — zawsze tylko ogiera. Wiem to od słynnego Renza, Carrego, Sidolego i innych mistrzów w dresowaniu koni. Gdy zatem według twierdzenia ludzi kompetentnych, co zresztą stwierdzają liczne dowody, konie kastraty tracą wrodzoną pojętność i bystrość zmysłów, któż zaprzeczy, że prócz tego u koni i byków tępieje zmysł powonienia? Zmysł ten u koni i bydła nieużyteczny, niewielu liczy badaczów. Ja także nie oddawałem się ścisłemu badaniu zmysłu powonienia u tych zwierząt, jednakowoż uderzało mnie to, że ile razy słyszałem opowieści o zachowaniu się koni w podróży, które nagle poczęły pryhać, grzywy jeżyć lub niepokoić się, najczęściej w skutek zwietrzenia w pobliżu wilka lub jego tropu, zawsze był to ogier albo klacz, nigdy wałach. Następne zdarzenie, które mi 8 osób równobrzmiąco opowiadało, utrwaliło mnie w przekonaniu, że kastracya ujemnie wpływa na zmysł powonienia u zwierząt. Pewnej jesieni — roku nie pamiętam — byłem w Ostobużu. Właściciel tej wsi odesłał był w czasie mego pobytu własnemi fornalkami sprzedaną pszenicę do Rawy. Gdy nazajutrz rano fornalki wróciły, wchodzi karbownik, który pszenicę odstawiał i mówi: „Bidušmo mały po dorozi, naj mu propade, wowkaśmo baczyły wertajuczy czerez lis Umleszczyny. Semko jichau na peredi, za nym Hryńko — taj nic, naraz jak forkne mołodyj ogier, szczo wid Horbatoi (klacz), taj w riw z wozom, a wsi koni „kataj“ na bezhołowije dorohoju. Tak łetiłyśmo z pił myli, potom stałyśmo radyty, szczo to buło, czort czy szczoś takoj, a Harasyma z kińmy jak nema, tak nema. Wertajemo, koni forkajut, ale

wże ne duże, aż pryjiżdżaje Harasym, taj każe: try wowki buły, ja każu: ot breszesz. — Ne breszu, baczywjem, jak zaśwityły ślipakamy. — I my baczyły, kazały parobky". W tym wypadku ogierek zwietrzył wilki, czemuż nie konie dwóch poprzednich wozów? Okazało się, że to były wałachy. Zdarzenie to umocniło mnie w przekonaniu, że kastracya albo całkowicie pozbawia zwierzęta węchu, lub znacznie go przytępia.

Przechodzę do psów, o które głównie mi idzie. Kogoż nie zadziwiło w porze cieczki suk niespodziewane pojawianie psów samców często z miejsc dalekich, bo o milę i więcej odległych. Czegoż to dowodzi? Że psy te zwietrzyły ciekącą się sukę, widocznie obudzony popęd płciowy zaostrza zmysł węchu. Zmysł węchu jest pośrednikiem między myślą (instynktem) i organem płciowym. Im silniej rozwinięty węch, tem z większej odległości zwietrzy drażniący go przedmiot. Ciekająca się suka wydaje z siebie woń silną. Utwierdziło mnie w tem przekonaniu przypadkowe odkrycie. U pana N. w Sokolem znajdowała się śród kilku psów jedna samica rasy kundlów. Doznawała jak wszystkie suki w odpowiedniej porze popędu płciowego, jednak mimo najwidoczniejszych oznak psy były dla niej zupełnie obojętne. Po kilkuletnich takich mękach, objawianych rodzajem szału, obawa, iżby się suka nie wściekła, nakazywała ją zgładzić. W wskazanym wypadku psy były kastraty. Kastrat z przytłumionym węchem nie czuje popędu płciowego, nie dozna bowiem podrażnienia, a więc pobudki do tego popędu. Dla zwierząt są tylko pobudki fizyczne. Odwiatr samicy w czasie cieczki drażni samca i przyciąga go. Nie masz istoty organicznej, którаby była zupełnie pozbawioną węchu, jest on ostrzejszym lub słabszym. U psów nawet jednej rasy zdarza się taka różnica. Jako przykład przywiodę różnicę węchu między wyżłem rasy kurlandzkiej, a setterem lub innym wyżłem rasy angielskiej, z gładkim włosem. Słysząc nieraz twierdzenie, że brytany rasy duńskiej, tak zwane dogi, jako też buldogi i szczurniki, czyli ratlery całkowicie nie miały węchu, postanowiłem przekonać się o tem naocznie. Gdy pies jaki spał w najlepsze, podsuwałem w pobliże nosa jego kawałek chleba, posmarowanego masłem lub mięso. Zabawny to był widok, jak pies przez sen poczynał kręcić nosem, zrazu lekko, następnie w miarę przybliżania się ponęty coraz mocniej, nareszcie budził się Doświadczenie to, które nawet z chartami, słynnymi z słabego węchu, udawało się, zawodziło zupełnie z dogami, buldogami i ratlerami. O zupełnym braku węchu u buldogów miałem najlepszą sposobność przekonania się na buldogach rasy najczystszej, perkonosych i dwunosych hr. Łączyńskiego. Często objeżdżając lasy i pola, a wiadomo jak knieje Kutkorskie bogate są w zwierzynę, spotykaliśmy stadka sarn lub pojedyńczo chodzące rogacze. Gdy buldogi zoczyły je, z natury zapalczywe, pomykały gorąco w las i goniły jak długo miały zwierza na oku, straciwszy, powracały do wózka. Często zające wymykały niedostrzeżone i niegonione przez buldogi. Nawoływałem je na świeży trop, buldogi jednak nie wietrzyły i były obojętne, czegoby nawet kundys lub chart nie uczynił. Nie wietrzyły też świeżo usmażonego kotleta, podłożonego pod sam nos, spały w najlepsze. Ratlery nie mają też wcale węchu. Przed laty, gdym mieszkał w Przemyskiem, pewien oficer przenosząc się w dalekie strony, darował mi był młodziutkiego ratlera najczystszej rasy. Ratlery różnią się od innych gatunków psów prócz kształtów także właściwem uzębieniem, posiadają bowiem po dwa kły w górnej i dolnej szczęce. Mięszańce w trzeciej krwi tracą tę właściwość. Ratlera tego chciałem ułożyć do szukania zajęcy i chodzenia do nor lisich, do czego za wybornego mentora służył jamnik Lord. Do jamy chodził nieźle, bo spodziewał się znaleźć w niej mysz lub szczura, do czego też miał niepoślednią chęć, odziedziczoną po swych protoplastach, które do łowienia szczurów przez kapitanów okrętów angielskich handlowych bywały używane i w miarę swej wartości po 20 do 40, a nawet więcej funtów szterlingów płacone. Do szukania zająca lub lisa okazał się po wielokrotnych próbach zupełnie niezdolnym, bo wcale nie miał węchu, o czem się przekonałem, biorąc go na łowy bez mentora jamnika. Latał jak opętany po gąszczach, gdy przypadkiem wypłoszył zająca, gonił głosem, jak długo miał go na oku, straciwszy, nie zdołał już schwycić tropu.

Rozmyślnie zboczyłem od rzeczy, którą rozjaśnić pragnę, nie miałem zamiaru wyliczać ras psów z silniejszym lub słabszym zmysłem powonienia, uczyniłem to jedynie z tego powodu, aby zwrócić uwagę czytelnika na istotną prawdziwość twierdzenia, że kastracya psów ujemnie wpływa na zmysł powonienia. Jedno tylko przypuścić można, że kastracya w bardzo młodym jeszcze, szczenięcym wieku, gdy części płciowe nie są rozwinięte, nie pozbawia psów zupełnie węchu, co stwierdzają liczne przykłady, co też zapewne było powodem, że wyżeł p. Chmurowicza był mimo kastracyi użytecznym. Przeciwnie psy wyczyszczone w wieku dojrzałym, tracą najzupełniej wiatr i wszelkie do polowania przymioty. Krewnemu memu w Ostobużu przyszła fantazya wykastrowania psów samców, kundlów i myśliwskich, mianowicie wyżła, dwóch ogarów, jednego charta i trzech kundlów. Psy te były doskonałe, każdy w swoim zakresie. Wynik tej dziwnej fantazyi był najgorszy: psy dworskie spały w najlepsze, gdy następnej jesieni okradziono spichrz, wyżeł wkrótce należycie spasiony stracił zupełnie wiatr i wraz z ogarami, również zniedołężniałymi poszedł na gałęź. Chart przedtem rączy, jak to mówią, „zgałganiał kompletnie", pozostawiono go przy życiu aż do mego przybycia. Nie poznałem Sokoła, tak się zmienił, z kształtnie podkasałego stał się „wantuchowatym", grubym jak kundys. Ruszamy na polowanie, Sokół raczył nam, lubo widocznie nie bardzo chętnie, towarzyszyć. Pomknął zając, inne charty ruszyły rączo, Sokół także, ale wlókł się z daleka, ustał w połowie mety z braku sił i animuszu łowieckiego. Po kilku takich wycieczkach poszedł również na gałęź. Drugim przykładem zupełnej nieużyteczności wyżłów po ich wykastrowaniu jest bardzo niedawne zdarzenie. Kustosz Muzeum im. hr. Dzieduszyckich we Lwowie kazał z powodu niedogodności mnożenia psów w mieście, skastrować dwa wyborne wyżły; po niespełna roku okazały się skutki, psy straciły zupełnie wiatr i musiały być zgładzone.

Podawszy kilka przykładów wymownie świadczących przeciw kastracyi psów myśliwskich, występuję przeciw niej stanowczo. Kto trzyma psy myśliwskie nieużywając ich do polowania, niechaj dla uniknienia wielu nieprzyjemności każe je oczyścić, nic na tem nie straci, owszem zyska, bo pies-kastrat staje się spokojnym domatorem, żadnej szkody nie czyni, a co najważniejsze, „nie czuć go wiatrem", jak psa niekastrowanego, zwłaszcza w porze cieczki. Zresztą nie pojmuję po co trzymać psy myśliwskie w mieście, gdy się ich nie używa do polowania. Od złodzieja ochroni dobry zamek, a zwierzyny dostarczy targ. W celu pozbycia się tej szczekającej, zanieczyszczającej, a co gorsze obrażającej przyzwoitość, zgrai psów w mieście, dobrze by było, gdyby Magistrat za kastrata nie wymagał żadnej taksy, za niekastraty i suki wysokiej, w takim razie posiadacz psa w mieście miałby tylko wiernego towarzysza i przyjaciela, a nie latawca i szkodnika a groza wścieklizny nie przerażałaby tylu mieszkańców. *Aleksander Ubysz.*

KRONIKA.

Drohiczówka dnia 15. Lipca 1886.

Obecna ogórkowa pora nie nastręcza tematu do opisów przygód myśliwskich — więc i kronika „Łowca“ nie bardzo zapełniona. Przeto przesyłam szanownej Redakcyi opis dzisiejszej przygody z borsukiem, choć nie bardzo szczególnej, jednak mogącej zająć czytelników „Łowca“. Dziś zrana wyszedłem do ogrodu, a wraz ze mną nieodstępny ratler i legawiec. Przechodząc koło groty, w której na kamieniu umieszczony gipsowy posąg Matki Boskiej, spostrzegłem wygrzebaną pod tymże kamieniem znaczną dziurę, do której wlazł ratler, a legawy nie mogąc się zmieścić, zaczął zawzięcie grzebać. Po chwili usłyszałem silne ujadanie ratlera; przypuszczałem więc, że tam jest tchórz lub kuna, które mi w zimie kilkanaście kaczek i kur w kurniku wydusiły, a złapać się nie dały, kryjąc się w murach lub toku. Postanowiłem przeto szkodnika obecnie z rąk nie wypuścić, a wiedząc że ratlerowi kuna wziąć się nie da, zaś legawy pomiędzy kamienie wejść nie zdoła — zawołałem ogrodnika, który przyniósłszy słomę, mniemaną kunę zaczął wykurzać, ja zaś przy drugim otworze czekałem ze strzelbą. Po chwili jednak usłyszeliśmy silne charczenie, z czego można było poznać, że to jakieś większe zwierzę. Przestaliśmy kurzyć, a ratler znowu wlazł do dziury i wkrótce zobaczyliśmy go, jak wytężając wszystkie siły, ciągnął za ucho już nieżywego starego borsuka, który pomimo schronienia swego w świątyni okropną śmiercią zginąć musiał. Szczególne to było, że borsuk ten zamieszkał tak blisko domu, bo zaledwie o kilkadziesiąt kroków, a przytem jak mi ogrodnik powiedział, że już nieraz psy w tej dziurze grzebały, a borsuk mimo to swej siedziby nie porzucił.

Jak dotąd, nie wiem czy innej zwierzyny w tym roku dosyć mieć będziemy; ale że dziki urozmaicą nam porę jesienną i zimową, to pewne, bo teraz już stadami chodzą i w zbożach znaczne szkody robią.

Tadeusz Cieński.

Podwysokie 9. Lipca.

Dzisiaj rano przybył zadyszany i przelękniony pastuszek i ledwo dosłyszanym z przestrachu głosem powiedział mi: „proszu pana desiat dikiw piszło do żyta za horodom“.

Nie dowierzając temu bardzo, poszedłem w towarzystwie jednego myśliwego, wziąwszy czterech chłopaków ze sobą. I rzeczywiście w życie były dziki i po pierwszych odezwaniach się onej pogonki poczęły rozbiegać się we wszystkie strony. Stojąc na pagórku obserwowałem rozbiegające się z daleka — było sztuk 23. Strzelałem do dwóch — jeden padł na miejscu, drugi poszedł skaleczony. Towarzyszący mi strzelał do pięciu, lecz bez skutku. Jeden z tych silnie postrzelony wpadł do ogrodu pomiędzy ludzi kopiących staw, — tu poczęstowany kilku uderzeniami rydli powlókł się w sąsiednie zboża.

Dziwnem i niewytłumaczonem dla mnie jest, że strzelane i przepłoszone dziki zatrzymały się zaraz w drugim bliskim łanie pszenicy i najspokojniej żerowały, tak, że oglądając z ekonomem zrządzone przez nie szkody, podchodziliśmy do pojedyńczych sztuk na strzał, a dziki ciągle ruszane z jednego do drugiego łanu przechodziły. Tu przepłoszone rozbiegły się po chłopskich gruntach i wyrządzają wielkie szkody. Poszkodowani całemi nocami pilnują w polu, hałasują, stawiają „dikopudy“, a dziki jakby urągając, najwięcej obok owych „dikopudów“ wyrządzają szkody.

Zeszłego roku tutejsze gminy udały się do c. k. Starostwa z prośbą o pomoc w wytępieniu dzików. Zarządzono obławy, zgoniono z czterech gmin kilkaset ludzi, uganiano przez dwa dni po lasach, lecz nie ubito, nawet nie skaleczono ani jednego dzika, gdyż nie było myśliwych. Kilku c. k. żandarmów w służbie i czterech czy pięciu pp. leśniczych, z rewirów, w których polowano, nie podołali na nader wielkich przestrzeniach. Dziki przepłoszone w lesie wyniosły się w pola i do późnej jesieni, nawet w zimie niszczyły wszystkie ziemiopłody.

I tego roku to samo nas czeka. *W. Piasecki*

Białykamień.

W zeszłorocznej korespondencyi nadmieniłem, że doniosę Szan. Redakcyi o wyniku polowań w latach następnych. Polowania nasze odbywają się zawsze w małem towarzystwie dobrych myśliwych i strzelców. Rok ten okazał się świetnym w stosunku do poprzednich, o czem liczba zabitej zwierzyny najwymowniej świadczy. Od 1. Lipca 1885 do 30. Czerwca 1886 upolowano pożytecznej zwierzyny: 14 kozłów (rogaczy), 169 zajęcy, 90 kuropatw, 17 przepiórek, 8 chruścieli, 32 słonek, 7 dubeltów, 21 krzyków, 2 kaczki i 2 kurki; drapieżców: 27 lisów, 1 kunę, 13 psów, 15 jastrzębi i 3 inne ptaki.

Liczba kłusowników znacznie się zmniejszyła, bo tylko sześciu amatorów cudzej własności przytrzymano. Powodem tego, że poprzednio 19 strzelb odebrano i bez spoczynku straż leśna i polowa śledzi tych nieproszonych gości. Wojna wypowiedziana drapieżcom trwa ciągle, a pan Sznejder, jako właściciel, zawsze wynagradza straż leśną i polową za każdego trupa. *M. Skopowski.*

Chów królików. Dzienniki warszawskie donoszą: Kilka par królików ładnych kupione zostały do ogrodu zoologicznego z okazów, jakie znajdowały się na tegorocznej wystawie inwentarza. Króliki te pochodzą z hodowli p. Konrada Skierkowskiego (w Lublinie), który, zająwszy się chowem królików na wielką skalę, stara się o rozpowszechnienie w kraju ras szlachetniejszych, jak angorskiej czyli jedwabnistej, służącej za wełnę bardzo cenną, afrykańskiej (królik-baran) doskonale znoszącej nasz klimat, leporydów czyli zajączków itp. Według objaśnień hodowcy, z królików rasowych można mieć znaczne korzyści. Dają one do użytku mięso, futro i skórę. Mięso jest bardzo smaczne na rosół, potrawki, pieczyste, a smakiem przypomina drób lub zwierzynę, zależnie od karmienia królików. Włos króliczy połyskujący, gęsty i ciepły, służy na wyroby najdroższych futer, przywożonych do nas z zagranicy pod rozmaitemi nazwami; w Belgii, w Gandawie są fabryki, zatrudniające dziennie 2000 robotników jedynie wyprawianiem i farbowaniem skórek króliczych, które następnie jako drogie futra rozsyłają po całej niemal Europie; znajdują się też podobne fabryki w Lipsku i Lesznie w Poznańskiem. Skóra królicza wyprawna nadaje się na rękawiczki grubsze zamszowe, a nawet najdelikatniejsze kobiece; inna znów znacznej grubości przydatna być może na kamasze. Zastosowanie to w wyprawianiu skór króliczych po raz pierwszy u nas przedstawił na tegorocznej wystawie p. Skierkowski i doszedł do dobrych rezultatów, a wyprawa skór jest tak łatwa, że trudnią się nią, jak u hodowcy, samouczki-służące. Wreszcie mówiąc o różnych z królików użytkach, dodać należy, że długa, delikatna, jedwabnista wełna królików angorskich łatwo daje się prząść i służy do wyrobów drogich szali angorskich, chustek, dywanów, serwet i t. p. Rozpowszechnienie tych użytecznych zwierząt w celach przemysłowych byłoby w kraju pożądanem, a przyszłoby łatwo w obec taniego chowu królików (jedzą one wszelkie odpadki kuchenne i t. p.), jak i w obec prędkiego, obfitego rozmnażania się ich, gdyż jedna para królików rasowych, ważąca od 12 do 18 funtów, co rok dać może do 80 młodych, a te znów w piątym miesiącu już mogą mieć swoje potomstwo.

Polowanie na lwa. „Kurier poranny“ warszawski donosi: Z menażeryi wędrownej Neumanna na popasie w jednej z wiosek na Żmudzi, w powiecie Teleszewskim, dużych rozmiarów lew wyłamawszy się z klatki, uciekł, kryjąc się w pobliskich lasach. Mieszkańcy okoliczni z obawy przed zwierzem dłuższy czas nie poważyli się wychodzić w stronę lasów, gdzie zbieg obrał swoje legowisko. Obławy pod kierownictwem Neumanna przedsiębierane, były bezskuteczne — lew uchodził zasadzek, robiąc szkodę w owcach, kozach i mniejszym dobytku. Nareszcie panu J. K., znakomitemu myśliwemu, udało się celnym strzałem z gwintówki na miejscu ubić grubego zwierza, a tem samem wybawić okolicę od niemiłego sąsiedztwa. Kto wie, ilu i jakich rozbojów lew ten byłby się dopuścił, zanim srogość naszego klimatu byłaby go ubezwładniła.

Pstrągi w naszych rzekach. Jak bogaty plon przynieść może jakakolwiek troskliwość około naszych górskich rzek, dowodzi rezultat wycieczki hr. Artura Potockiego w okolice Suchy i Makowa, gdzie w rzekach Skawica i Skawa trzech panów w przeciągi trzech dni 685 sztuk ryb na wędkę dostało. Było to 26., 27. i 28. Czerwca 1886, naturalnie z przerwami, spowodowanemi dojazdami na miejsce i na obiady, oraz przez niedzielne nabożeństwo. Trzy wędki angielskie ze sztucznemi muszkami przyniosły następujący rezultat, przyczem zauważyć należy, że rzeki po długotrwałym deszczu przestały zaledwie nieść dużą i mętną wodę, i że krótko przedtem spławiane drzewo znacznie ryby poturbowało, jak to z kilku złapanych poranionych pstrągów okazało się:

	Pstrągi Trutta forio L.	Lipienie Thymallus vulg.	Różne —	Razem sztuk
Hr. Artur Potocki	339	22	23	384
Wny Stan. Homolacz	113	7	24	144
P. Łowczy Albus	126	11	20	157
Razem	578	40	67	685

Najlepszy rezultat osiągnięto w rewirze arcyksięcia Albrechta w Makowie, gdzie dnia 26. Czerwca Hr. Artur Potocki sam złowił 161 pstrągów, 2 lipienie i 2 różne, razem więc 165 sztuk.

W Suchy (własność Hr. Władysława Branickiego), istnieje pstrągarnia, t. j. zakład sztucznego wylęgu pstrągów i łososi, które systematycznie wpuszcza się do rzek okolicznych; jest też tam pewna ochrona przeciw dzikiemu rybołowstwu, chociaż jeszcze niedostateczna, złapano bowiem pstrąga z urwaną wędką, która świadczy o praktykowanym tam „domowym przemyśle“.

Krzeszowice, 3. Lipca 1886.

Stanisław Kluczycki,
Wiceprezes kraj. Tow. rybackiego w Krakowie.

Z pod Bełza.

Do dawnego województwa Bełzkiego śmiało zastósować można: „łąka, mąka, ryby, grzyby“. Pod względem powierzchni ziemi wiele się tam zmieniło, łąki osuszone poszły pod pług, ten sam los spotkał znaczną część lasów, ów szpichlerz grzybów i — zwierzyny. Rzece Sołokii chciano też założyć wędzidło, okiełzać jej samowolę, a zarazem osuszyć słynne błota bełzkie. Począłem rozpaczać na widok owego krzątania się około osuszenia i wycinania lasów, zwłaszcza jako miłośnik polowania błotnego. Nie udało się wszakże wytrzebić lasów, wypłoszyć zwierzyny. Na zrębach bujne wyrosły gąszcze, a w nich, dzięki ustawie łowieckiej, zwierzyny czworonożnej mnóstwo. Rzeka Sołokija oparła się też woli inżynierów, zamuliwszy kanał, płynie sobie *ut quondam* swobodnie swem krętem, płaskobrzeżnem łożyskiem. Przez dłuższy czas osuszone przestrzenie, na których ani trawy, ani zwierzyny błotnej nie było, podmoczone, stały się tem, czem były dawniej. Po dawnemu wesoło na nich i gwarno, gwarniej może, jak za czasów dawniejszych, gdy w okolicy było więcej stawów, błot lub rudek, które sztuka przemogła. Co niegdyś tam się pieleszyło, gromadzi się obecnie na błotach Bełzkich, błogiego doznając spokoju, bo amatorów tego rodzaju polowania u nas teraz prawie nie ma. Kto jest prawdziwym miłośnikiem błotnego polowania, a ma z okolicą naszą stosunki, to gdy Kalendarz „Łowca“ jasnem okienkiem na to pozwoli, niechaj przybywa, a ręczę za dobry skutek polowania. *Stary.*

Dzienniki wychodzące w cesarstwie rosyjskiem niewesołą w 1884 i 85 donosiły wiadomość, że jedyne w Europie, w puszczy Białowiezkiej znajdujące się żubry, w znacznej liczbie padły ofiarą choroby jakiejś, która nagminnie pomiędzy stadami temi grasowała. Obecnie zaraza ustała całkowicie. Łagodna zima z r. 1885 na 86, wczesna i ciepła wiosna same przez się korzystnie wpłynęły na stan zdrowia żubrów, niemniej i na bujną wegetacyę ulubionej przez żubrów trawy, po miejscowemu tomiłką zwanej, rolnikom znanej pod nazwą tymotki. Trawa ta dziko i bujnie rosnąca po dąbrowach lub łąkach leśnych puszczy Białowiezkiej, ma być zarazem lekarstwem dla chorych żubrów. Urzędowe wykazy leśniczych tamtejszych wykazują świetny przyrost żubrów w tym roku, bo 50 sztuk cieląt żubrzych, zdrowych i rzeskich.

Wystawa łowiecka w Petersburgu. Otworzona przez Towarzystwo techniczne wystawa łowiecka daje bogaty w szczegóły obraz nader rozgałęzionego myśliwstwa rosyjskiego. Wiadomą jest rzeczą, że wszelkie wystawiane przedmioty przyjmują uszlachetniony charakter swego otoczenia. W tem też znaczeniu pojęło Towarzystwo techniczne swe zadanie, więc uposażyło wszystkie przedmioty takiem otoczeniem, że ono nie tylko wymownie świadczy o wysokim zmyśle estetycznym, ale też daje zwidzającemu wyraźny, zgodny z naturą obraz zwierząt łownych na wolności, jako też ubicia ich i łowienia. Wypchane gatunki ptaków, zwierzęta czworonożne, przybory łowieckie, broń myśliwska od pierwotnego swego kształtu aż do najwyższego udoskonalenia naszych czasów, ugrupowane są nader powabnie. W jednej olbrzymiej sali urządzony cały las, gdzie zwierzęta łowne przedstawione są w swem naturalnem życiu i działaniu. Jednem słowem wystawa ta służy przeważnie umiejętności i jest tak urządzoną, że profan nawet nabiera o tem wyobrażenia, a urządzającym przynosi wielki zaszczyt.

Leczenie wścieklizny. Warszawskie „Słowo“ umieszcza następującą wiadomość: „Podczas kiedy Pasteur ponawianemi ciągle doświadczeniami stwierdza skuteczność wynalezionego przez siebie szczepienia wścieklizny, dwaj znakomici lekarze nantejscy pp. Barthelemy i Viand Grand Morais starają się wypróbować ostatecznie skutki ziela, sprowadzonego z Tonkinu pod nazwą Hoang-Nan, które ma być również przeciw wściekliźnie niezawodnym środkiem. To pewna, że misyonarze francuscy w Tonkinie i wielu lekarzy tam przebywających stwierdziło skuteczność wymienionionego powyżej środka, którego użycie szybko i z wielkiem powodzeniem rozpowszechniło się w Indyach i na wyspach Antylskich. O tej skuteczności zdaje się wątpić już nie można, w dwudziestu bowiem wypadkach, w których Hoang-Nan od 1882 zastowany został przez doktorów Barthelemy i Viand, ani razu nie okazały się oznaki wścieklizny po ukąszeniu“.

INSERATY.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.